NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 30 września 1911. Nr. 39.

Sensacyjny zwrot w sprawie Jasnogórskiej.



Nr. 39. „Nowości illustrowanych" zawiera: Pogrzeb byłego ministra. — Cmentarz australski. — Oszustwo na wielką skalę. — Miejsce zamachu na Stołypina. — Walka z gruźlicą w Krakowie. — Nowy minister wojny. — Nowy port wojenny niemiecki. — Po awanturach głodowych we Wiedniu. — Rumacya Bazylianek we Lwowie. — Za Ocean po lepszą dolę. — Zamknięcie kursu pończosznictwa i trykotarstwa w Krakowie. — Akcya ratunkowa dla Macierzy Śląskiej w Samborze.



Walka z gruźlicą w Krakowie: Grupa odznaczonych na wystawie produktów z tanich ogrodów.

Sensacyjny zwrot w sprawie jasnogórskiej.

(Do illustracyi tytułowej).

Sprawa jasnogórska, w której tak smutną rolę odegrali byli Paulini, Damazy Macoch i Izydor Starczewski, zdawała się dobiegać końca zwykłym trybem. Przypuszczano, że najdalej w styczniu znajdzie się ona na wokandzie trybunału piotrkowskiego, ubolewano tylko, że jawność będzie wykluczoną, nie przedostanie się więc do wiadomości ogółu wiele dramatycznych momentów. Akt oskarżenia przeciw Macochowi i wspólnikom, sporządzony przez prokuratora piotrkowskiego odesłany został w myśl przepisów władzy duchownej, która zwróciła go bez żadnych zmian, to znaczy, że zgadza się z zapatrywaniami Izby sądowej.

Tymczasem z końcem ubiegłego tygodnia zaszedł zwrot niespodziewany. W celi Izydora Starczewskiego zarządzono niespodziewaną, a bardzo okładną rewizyę, w czasie której wykryto zaszytą w ubraniu Starczewskiego korespondencyę, która naprowadza na domysł, że obaj współwinni, jakkolwiek oddzieleni od siebie i strzeżeni bardzo pilnie, potrafili urządzić sobie we więzieniu tajemną pocztę, przy pomocy której porozumiewali się ze sobą co do zeznań, aby uniknąć sprzeczności. Maleńkie karteczki zapisane ołówkiem zawierają wzajemne wskazówki i ostrzeżenia, nie naprowadzają jednak wcale na ślad kradzieży kosztowności z Jasnej Góry.

Tą zapewne drogą dowiedział się też Macoch, że akt oskarżenia wrócił z konsystorza włocławskiego bez żadnych zmian, że wszystko, co władza świecka postanowiła w jego sprawie, władza kościelna potwierdziła i oddała go całkowicie sprawiedliwości świeckiej. To oddziałało na Macocha i rozwiązało mu język.

Pewnego dnia oświadczył dozorcy, że chce być powołany przed sędziego śledczego, gdyż ma do złożenia ważne zeznania. Co mówił, rzecz prosta, nie wiadomo, w każdym razie musiały to być relacye pierwszorzędnego znaczenia, gdyż sędzia zaprosił zaraz prokuratora i wobec niego przeprowadził przesłuchanie, którego następstwem ma być wycofanie sporządzonego już aktu oskarżenia i rozpoczęcie dodatkowego śledztwa.

Sąd jest zdania, że ze strony Macocha gra tu rolę tylko chęć przewleczenia sprawy, nie brak jednak i takich, którzy utrzymują, że spóźniona wielomówność Macocha stoi w ścisłym związku z ukrytą u Starczewskiego tajną korespondencyą i ma rzucić nowe światło na ponurą tragedyę.



Zakończenie kursu pończosznictwa i trykotarstwa w Krakowie: Grupa uczestniczek wraz z komitetem urządzającym. 1. Prezesowa Koła Pań, Steczkowska. 2 Kierownik filii Ligi P. P. St. Krzaczyński. 3. Instruktorka kursu p. Payersfeld.

Walka z gruźlicą w Krakowie.

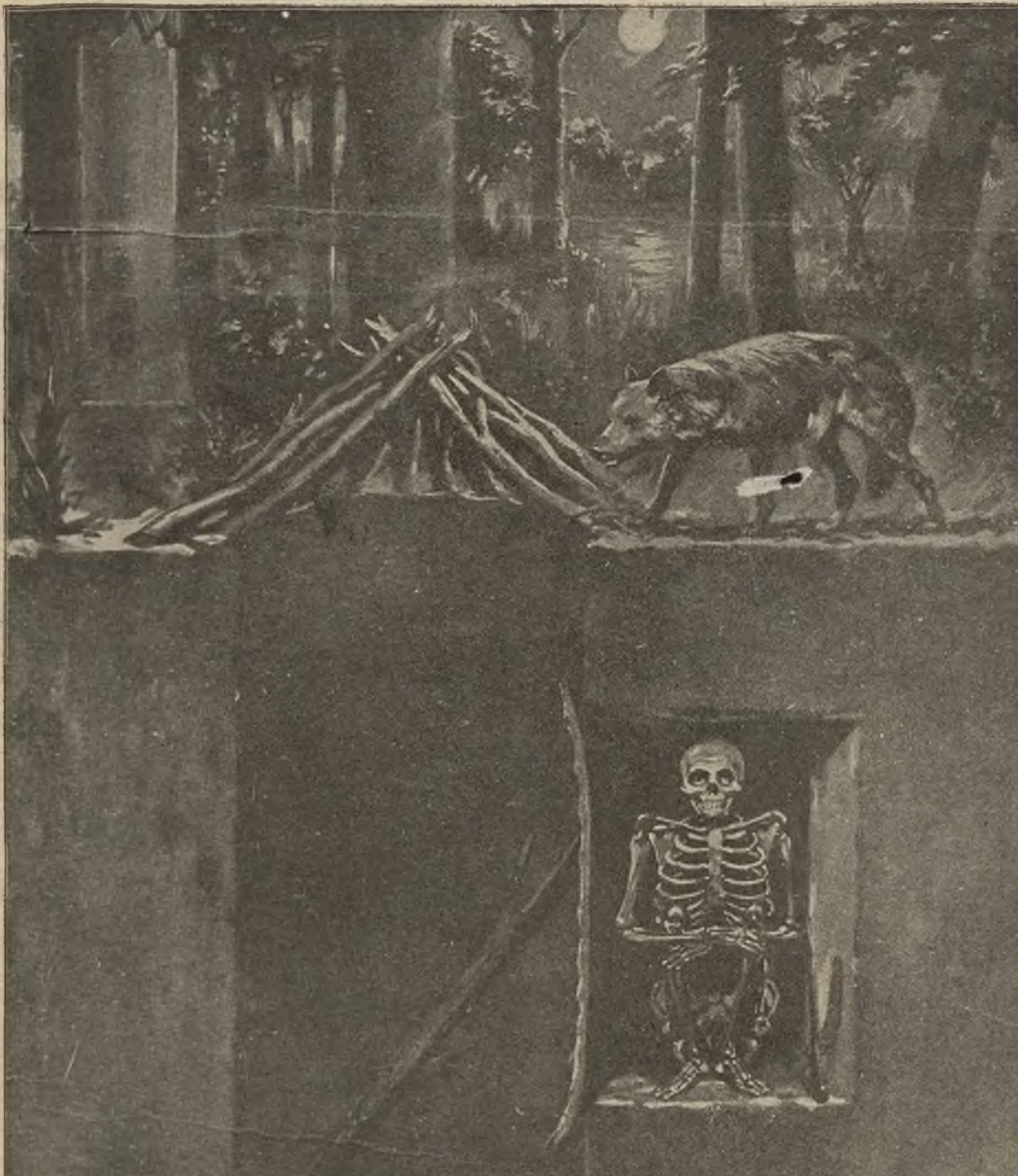
Istniejące w Krakowie od trzech lat „Koło krakowskie Tow. walki z gruźlicą“, niezależnie od utrzymywanej przez siebie „półkolonii dla dzieci“ w Parku dra Jordana, założyło w bieżącym roku przy pomocy gminy m. Krakowa 84 tanich ogródków, w których ubogie, gruźlicą zagrożone rodziny robotnicze znajdują możność stworzenia dla siebie i dla dziatwy doskonałych warunków hygienicznych, otwierających pole do pracy na łonie natury i na świeżem powietrzu. Sprawą tą, posiadającą dla hygieny młodego pokolenia pierwszorzędne znaczenie, zajął się osobny komitet pań pod przewodnictwem pani profesorowej Kostaneckiej. Uzyskawszy od miasta za bardzo nizką cenę część gruntów w trzech dzielnicach miasta, a mianowicie na Grzegórzkach wzdłuż gruntów augustyańskich, w Dębnikach na gruncie kupionych od pp. Lasockich i na Zwierzyńcu obok szkoły, komitet pań „Tow. walki z gruźlicą“ urządził tam ogrody robotnicze, każdy po 200 m² i wydzierżawiwszy je poszczególnym dziećmi obarczonym rodzinom robotniczym po cenie 3 koron rocznie, stworzył coś w rodzaju warsztatów ogrodniczych, zapewniających rodzinom robotniczym zdrowie fizyczne i korzyść materyalną. Warunkiem dzierżawy jest uprawa w tych ogródkach jarzyn na własny użytek. Na każdym z wymienionych kompleksów gruntów, które położone są w pobliżu domków mieszkalnych, założono jeden wzorowy ogródek utrzymywany przez Towarzystwo, aby dać przykład racyonalnego wyzyskania gruntu. Każdy ogródek oddzielony jest od sąsiedniego miedzą. W niedzielę i święta specyalny nauczyciel udzielał na miejscu pouczeń tyczących się hodowli użytecznych roślin. Rezultat pierwszej kampanii tegorocznej w ogródkach okazał się nader pomyślnym i zadawalniającym na przyszłość. Komitet badając wyniki pracy, rozdzielił pomiędzy dzieci pracujące w ogródkach szereg nagród i listów pochwalnych. Otrzymali je między innymi August Palkisz (nagr. I.), Jan Gałuszkiewicz, Józef Soja, Salomea Sikora (nagr. II.), St. Góra, Aniela Sasorska, St. Bałuk (nagr. III.). Jak na pierwszy rok próbnej pracy, rezultat to nader zadawalający.

Wypada zaznaczyć, iż lwia część zasługi, iż to przedsięwzięcie krakowskiego „Koła Towarz. walki z gruźlicą“ wykazało już w roku bieżącym takie dodatnie skutki, należy się bezsprzecznie miejskiemu fizykowi, drowi Janiszewskiemu, który nie ustaje w pracy, jeśli chodzi o przeprowadzenie urządzeń mających na celu poprawę dotychczasowych opłakanych stosunków.

Wpisy na dzierżawę „ogródków robotniczych“ na rok 1912 przyjmowane będą do końca roku b. w biurze miejskiego urzędu zdrowia.



Pogrzeb byłego ministra: Zastępca cesarza i grono dostojników w orszaku pogrzebowym. (Fot. J. Jaworski, Lwów).



Cmentarz australski: Ucieczka nieboszczyka przed złym duchem.

Zamknięcie kursu pończosznictwa i trykotarstwa w Krakowie.

Liga Pomocy Przemysłowej w Krakowie, dbając o rozwój przemysłu krajowego i starając się także, aby ludności dać sposobność zarobienia sobie na kawałek codziennego chleba, główny nacisk kładzie na rozwój przemysłu domowego, tak rozwiniętego już wszędzie za granicą. Ku temu celowi służą najrozmaitsze kursy, urządzane przez Ligę w różnych okolicach kraju, mające zapoznać uczestników i uczestniczki z poszczególnemi gałęziami wytwórczości przemysłowej, mogącej stanowić bardzo przyjemne i popłatne zajęcie domowe.

Do tego rodzaju zatrudnień należy przedewszystkiem pończosznictwo i trykotarstwo. Uznając, jakie ono ma znaczenie w gospodarstwie domowem, urządziła Liga P. P. sześciotygodniowy kurs w salach filii swej w Krakowie. Zapisało się nań kilkanaście uczenic, które przez cały czas trwania uczęszczały nań bardzo pilnie i odniosły niezaprzeczenie korzyści.

W ubiegłą sobotę odbyło się uroczyste zamknięcie kursu, na które przybyło wiele osób, między innymi poseł dr. Bandrowski, radca dworu Horoszkiewicz, radca magistratu dr. Zaczek, sekretarz Beres, radca miejski dr. Merz i wielu innych. Zamknięcia dokonał w nieobecności prezesa krakowskiej filii Ligi P. P. kierownik jej, pan Stanisław Krzaczyński.

Kurs ukończyło jedenaście uczenic, które prócz nauki pracy na maszynach wysłuchały również i wykładów teoretycznych, udzielanych przez profesora dra Bollanda, prof. Passakasa i dyrektora Krzaczyńskiego.

Spodziewać się należy, że obecnie przemysł ten zacznie się rozwijać w Krakowie i da zatrudnienie dziesiątkom robotnic, zwłaszcza, że Liga projektuje zorganizowanie krajowego Związku pracownic pończoszniczych, co niewątpliwie wpłynie bardzo dodatnio na rozwój tej gałęzi przemysłu domowego, ułatwiając zbyt i pomagając przy zakupnie maszyn i surowego materyału.

Cmentarz australski.

Obawa przed złymi duchami, nawiedzającymi groby nieboszczyków po śmierci, aby zabrać swą ofiarę, silnie jest zakorzenioną u niektórych szczepów w Australii.



Pogrzeb byłego ministra: Duchowieństwo w orszaku pogrzebowym. (Fot. J. Jaworski, Lwów).

Dla zabezpieczenia nieboszczyka od tych niepożądanych odwiedzin, które dreszczem przerażenia przejmują żywych, jeden ze szczepów oryginalny obmyślił sposób ukrywania nieboszczyków przed orszakiem krwiożerczego ducha Debbil Debbil.

Ludność tego szczepu wykopuje szeroki i głęboki grób, w którego jednej ścianie wybiera małą niepozorną dziurę, i do niej składa zwłoki w pozycyi siedzącej, z rękami obejmującemi kolana. Obok zwłok kładą broń indyjską, tz. bumerang i mulla mulla, ażeby nieboszczyk miał się czem bronić, gdyby ktoś niepowołany chciał zakłócić jego spokój. Kawał kory drzewnej osłania wejście do tej framugi.

Grób taki po pogrzebie bywa zasypany, a na powierzchni jego wznosi się wał ochraniany na zewnątrz ułożonymi w kozły patykami.

W ten sposób sądzą krajowcy, że najskuteczniej zabezpieczają nieboszczyków przed napaścią złego ducha Debbil-Debbil, który nie zastawszy swej ofiary w pustym rzekomo grobie, odchodzi, sądząc, że grób jeszcze nie jest zamieszkały. Gniewny duch odchodzi wówczas ku tym cmentarzom, które są z mniejszą troskliwością i mniejszym sprytem pilnowane.

Zdaje się, że ów duch, Debbil-Debbil, identyczny jest z pospolitą hyeną, która jak wiadomo nawiedza chętnie świeże groby i zakłóca w sobie właściwy sposób ich wieczny spoczynek.

Nowy minister wojny.

(Do illustracyi na str. 9).

Na widowni wypadków politycznych w monarchii austryacko-węgierskiej dokonała się w ubiegłym tygodniu ważna zmiana. Dotychczasowy minister wojny bar. Schönaich ustąpił, a w miejsce jego zamianowany został wspólnym ministrem wojny generał piechoty Maurycy Auffenberg, komendant XV. korpusu i głównodowodzący generał w Sarajewie.

Nowo mianowany minister wojny generał Maurycy Auffenberg urodził się w r. 1852 w Opawie, liczy więc obecnie lat 59. Po ukończeniu Terezyańskiej Akademii wojskowej w Wiener Neustadt wstąpił on w szeregi czynnej armii w r. 1871 w randze podporucznika 28 pp. Uzupełniwszy następnie studya swe w szkole wojennej, wyszedł z niej z awansem na porucznika i w tym charakterze przydzielony do generalnego sztabu odbył kampanię bośniacką, poczem pełnił służbę przy komendach korpuśnych w Budapeszcie i we Lwowie. W listopadzie 1900 roku mianowany generałem otrzymał komendę 65-tej brygady w Raab. W roku 1905 został generał-porucznikiem, a w dwa lata później powierzono mu nowo kreowane stanowisko generał-inspektora korpuśnych szkół oficerskich. Gdy w lecie 1909 generał Varešanin powołany został na inspektora armii i szefa rządu Bośni i Hercegowiny, Auffenbergowi powierzono komendę XV. korpusu armii i mianowano go komenderującym generałem w Sarajewie, na którem to stanowisku awansował na generała piechoty. Jest on kawalerem orderu Leopolda i Żelaznej korony, oraz właścicielem 64 pp.

Nowy minister wojny ma dwa przedewszystkiem zadania do spełnienia. Pierwszem jest doprowadzenie do skutku wlokącej się od lat wielu sprawy reformy procedury karnej wojskowej, drugiem reforma i powiększenie armii. Jako mąż zaufania arcyksięcia następcy tronu, generał Auffenberg będzie się niewątpliwie starał przeprowadzić w parlamencie żądanie nowego 300 milionowego kredytu na powiększenie armii i stałego pomnożenia budżetu wojskowego o 100 milionów koron rocznie.



Oszustwo na wielką skalę: Trybunał i ława sędziów przysięgłych w procesie S. Intratera. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

19)

Antek nie mógł na razie zrozumieć Stanisława, więc począł gwałtownie i nerwowo dopytywać się, jak, co, kiedy, a gdy dowiedział się o wszystkiem, rzucił się z powrotem, wrzeszcząc:

— Ubiję psiakrew! ubiję jak psa wściekłego!

I skoczył jak szalony z powrotem, a stryjaszek Józef śmiał się cicho i gadał, że spóźnił się „jak te karabiniery w operetce".

Tymczasem Stanisław, zostawiając Antkowi poszukiwanie Anielki i zemstę nad Jasińskim, powlókł się stękając do pokoju pani Schmid. Chcąc się tam dostać, trzeba było przejść przez sypialnię panny Anieli. Panował tu straszny nieład, który oświecała błękitna ampla, wisząca u sufitu. Łóżko było zmięte, poduszki i materace leżały na podłodze, krzesła poprzewracane, świadczące o upartej obronie dziewczyny. Ale Stanisław rzucił tylko okiem na to wszystko i pospieszył przez napół uchylone drzwi do pokoju pani Schmid, skąd dobywał się jakiś jękliwy szept.

Pokój ten był oświetlony lampą, stojącą na stole i panował w nim nienaruszony spokój i porządek. Na środku tylko na podłodze, leżał rozerwany szary papier, z napisem na nim „10,000 rubli", dobrze znany Stanisławowi, co dowodziło, że zbóje zabrali pieniądze pani Schmid. Ona sama klęczała nieruchoma, w koszuli tylko, z głową w rękach schowaną, przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i głosem jękliwym szeptała:

— Najświętsza Panno, Twoja nie moja niech się dzieje wola. To za grzechy moje, za grzechy! Zawiniłam ciężko i słusznie mię karzesz. Ale karz mnie, nie moje dziecię, o Panno święta, Panno najlepsza, ratuj mą córkę, ratuj! ratuj! Ona nic niewinna, tylko ja, tylko ja grzesznica! Matko Boga Wszechmocnego ratuj me dziecię!

XXVII.

Po burzliwej nocy, gdy jasne, wesołe słońce zajaśniało nad dworem w Górach, obraz zniszczenia, dokonanego tu przez bandytów, ukazał się w całej grozie. Okna powybijane, drzwi wchodowe rozbite na drzazgi, meble potłuczone, lustra potrzaskane, ściany kulami poorane, oto następstwa tego zuchwałego napadu. Zrabowali oni pieniądze Anielki i pani Schmid, worek z banknotami pani Zenobii, nakoniec wydobyli z kasy ogniotrwałej, którą rozbili na szczątki, całą schedę Stanisława, ogółem pięćdziesiąt pięć tysięcy rubli w gotówce.

Ale te straty materyalne, jakkolwiek bardzo znaczne, były niczem w obec zabójstwa pani Zenobii, porwania Anielki, ciężkiej rany zadanej Orczykiewiczowi, który mężnie bronił drzwi wchodowych, niemniej ciężkiego potłuczenia Stanisława i stryjaszka Józefa. Całe szczęście, że bandyci schwyciwszy pieniądze, jak prędko napadli, tak jeszcze prędzej się wynieśli, może dlatego, że zbudzona strzałami wieś, poczęła się ruszać i chłopi uzbrojeni w kosy zaczęli się gromadzić. Ilu było bandytów, niepodobna było odgadnąć; Stanisław zapewniał, że ten, który go w korytarzu kolbą od rewolweru uderzył w czoło, był Michail Srulowicz Mojsiejew. Poznał go po głosie, który doskonale zapamiętał z czasów pierwszego wiecu w starej szopie.

We dworze zresztą panował chaos i nieład i nikogo nie było na razie, ktoby się mógł zająć jakimikolwiek zarządzeniami. Kilka tylko niezdarnych dziewek wiejskich kręciło się, to niosąc zimne okłady dla stryjaszka Józefa, to niby sprzątając, ale wogóle same nie wiedziały czego się chwycić, przerażone i skamieniałe rozmiarami klęski i zbrodni. Stanisław z owiązanem czołem, zniechęcony, smutny, na pół jeszcze zamroczony potężnym ciosem w głowę, chodził chwiejąc się po spustoszonych pokojach i na tyle tylko zdobył się inicyatywy, że wysłał furmana Jędrka z końmi po doktora. Zresztą ogarnięty zwykłym sobie pessymizmem, jak na teraz do pewnego stopnia usprawiedliwionym, poszedł do pokoju stryjaszka Józefa i położył się u niego na otomanie, bo w swej sypialni, zrujnowanej zupełnie, nie mógł tego uczynić i stękał i narzekał i przeklinał świat i ludzi.

Stryjaszek Józef leżąc w łóżku z kolanem obłożonem mokremi okładami, słuchał tego wszystkiego, przypominał niektóre epizody z nocnego napadu i ciągle powtarzał o spóźniających się karabinierach z operetki.

— Wszystkiemu, całemu temu nieszczęściu jest winien Antek — mówił Stanisław.

— A to jakim sposobem, serce?

— Takim, że swojem gadaniem i zapewnieniem, że napadu nie będzie, uśpił moją czujność i oddał nas bezbronnych na pastwę Jasińskiego i jego szajki.

— Hm! może ty i mający racyą, ale na cóż teraz zdadzą się wszelakie oskarżenia, kto winien. Musztarda po obiedzie. Stało się i mnie oto kolano szpetnie boli. Jakże ja tera będę polował na niedźwiedzie i wilki w ihumeńskich borach? Niechaj to dyabeł porwie. Ale taki powiedz ty mnie, gdzie jest ten Antek zdrajca?

— Albo ja wiem! Kiedym mu tam w korytarzu powiedział, że Jasiński porwał Anielkę, poleciał go zabijać, jak mówił, i więcej go moje oczy nie widziały.

— Może go te szelmy zbóje gdzie zamordowawszy?

— Może.

Stryjaszek Józef, usłyszawszy tę obojętną odpowiedź, spojrzał na Stanisława, poruszył się niespokojnie, a uraziwszy kolano syknął z bólu i rzekł:

— Taż serce, trzeba coś robić, coś poradzić. Gdyby nie moje kolano, które nie pozwalające mi się ruszać, to jaby tu zaraz porządek zrobił.

— Cóżby stryjaszek zrobił?

— Dużo serce, dużo. Jaby zaraz posławszy po lekarza.

— Jużem posłał, ale cóż on poradzi! Pani Zenobii nie wskrzesi, panny Anieli nie powróci i rozmodlonej pani Schmid nie wskrzesi.

— Ale jaby dał znać do władzy, do stanowego prystawa, do żandarmów.

— Niema teraz władzy, niema stanowego prystawa, ani żandarmów. W X. jest socyalna rzeczpospolita, a oni przecież swoich ścigać nie będą, ile że Jasiński jest tam dygnitarzem.

Stryjaszek Józef znów się poruszył niespokojnie, uraził kolano i syknął, a po chwili rzekł:

— Taki mnie się widzi, że Jasiński na własną rękę dokonał napadu, a członkowie rzeczypospolitej o tem nie wiedzący. Należy do nich się udać, skoro władz rządowych niema.

— Do kogo się mam udać?

— Ano do tych panów z rzeczypospolitej.

— Chyba stryjaszek żartuje. Gdzież ja ich mam szukać?

— Taż ja nie wiem. Ale skoro ani tych ani tamtych nie chcesz, to udaj się do gubernatora. Taki on coś pomoże.

— Nie chcę do nikogo się udawać, nie życzę sobie, by mi policya na kark spadła. I tak już mam z nią przykrą sprawę o trupa jakiegoś powstańca, znalezionego w wydrążonej dziupli starej wierzby na moim gruncie. Nic nie chcę i niech ich dyabli wezmą!

Rozmowę przerwało wejście dziewki, Kaśka imieniem, niosącej świeży okład, a że do operacyi tej zabierała się niezręcznie i ciężko, więc stryjaszek Józef sykał i klął na czem świat stoi wszystkich bandytów i wszystkie niezgrabne Kaśki, a Stanisław śmiał się, ziewał głośno, wkońcu wyciągnął się na otomanie i usnął.

Koło południa przyjechała prostą furą chłopską, w t. zw. gnojnicach, siedząc na wiązce słomy, panna Aniela. Była tylko w bieliźnie i boso, otulona kołdrą, tak jak ją porwano w nocy z pościeli. Była wystraszona mocno i niestworzone rzeczy opowiadała o swej, jak ją nazywała, niewoli. Mówiła tedy że Jasiński wsadził ją do bryczki, stojącej za ogrodem na drodze, i powiózł do jakiejś chałupy, której położenia ani miejsca oznaczyć nie była w stanie. Twierdziła tylko, że chałupa ta znajduje się gdzieś na polanie wśród lasu, który ją otacza dokoła, że składa się z dwu izb, i że w niej prawdopodobnie mieścić się musiała drukarnia, bo znalazła w niej dużo porozrzucanych czcionek i podarte szczątki gazety p. n. „Proletaryat". Stanisław napróżno się biedził i wypytywał się i w żaden sposób nie mógł odgadnąć gdzieby się ta chałupa tajemnicza znajdować mogła.

— Ale jakże się pani z niej i z łap Jasińskiego wydostała? — pytał.

— Jasińskiego tam wcale nie było. Przyniósł mię tylko, oddał w ręce onych trzech, jak je Antoś nazywa, nihilistek z ostrzyżonemi włosami, a sam zaraz gdzieś odjechał.

— I nie widziała go pani więcej?

— Nie.

— A cóż pani robiła w tej chałupie?

— Nic. Nihilistki te były dla mnie dość grzeczne i uprzedzające, ale miałam to wrażenie, że mię pilnują. Zresztą, gdy się dzień zrobił, zauważyłam, że przed chałupą stróżuje dwóch drabów o bardzo podejrzanych minach. Byłam mocno przerażona tem wszystkiem, było mi zimno, ale nie traciłam odwagi i postanowiłam sobie, że jak tylko Jasiński się zjawi, to mu oczy wydrapię.

— Bagatela! — mruknął stryjaszek Józef, przysłuchujący się w milczeniu tej rozmowie — ale taki Jasiński się nie zjawił?

— Nie.

— I oczy jego ocalały. Hi! hi! hi!

— A ocalały, ale ja mu tego gwałtu nie daruję.

— No tak... tak się to mówi — rzekł Stanisław — ale ostatecznie jakimże sposobem wydobyła się pani z owej tajemniczej chałupy, z pod straży trzech nihilistek i dwóch podejrzanych drabów?

— Wcalem się nie wydobywała, oni sami mię opuścili.

— Nie rozumiem.

— Była może godzina dziesiąta rano, kiedy przyleciał jakiś młody żydek, z miną mocno wystraszoną, poszwargotał coś szeptem z drabami i nihilistkami i całe to towarzystwo nie mówiąc nic, z wyraźnym pośpiechem i strachem wyniosło się a mnie zostawiło samą.

— Niesłychane rzeczy! — zawołał Stanisław — i cóż pani sądzi, co to znaczyło?

— Nie wiem. Z początku myślałam, że powrócą, ale gdy mijały godziny i nikt się nie pokazywał, zabrałam się i chałupę tę opuściłam. Najgorszem było to, że nie wiedziałam, gdzie się znajduję i gdzie są Góry. Przytem byłam boso, a dzięki głupiemu wychowaniu nie umiałam chodzić po igłach, kamieniach i piaskach i nogi sobie pokaleczyłam. Ale trudno, w chałupie tej nie mogłam pozostać, bo najprzód moi stróże mogli wrócić, a potem głód począł mi dokuczać. Puściłam się tedy w drogę na chybił trafił, błąkałam jakiś czas po lesie, wreszcie spotkałam tego chłopa, który mię przywiózł, a że jechał w stronę Gór, więc za obietnicę sutego wynagrodzenia zgodził się mię zabrać, choć podejrzliwie mi się przypatrywał, a mogłam w istocie wzbudzić podejrzenie będąc w koszuli, owinięta kołdrą tylko. Taka była moja Odysseja.

Uśmiechnęła się smutno i zapytała:

— A gdzież jest pan Antoni?

Objaśniono ją, że dowiedziawszy się o jej porwaniu, pobiegł ją ratować i odtąd niema o nim żadnej wiadomości. Wiadomość ta zasmuciła [illegible] dzo, poczęła snuć najgorsze przypuszczenia, [illegible] pomimo znużenia i wyczerpania, postano[illegible] zwłocznie udać się do X. w celu odszukan[illegible] narzeczonego, lub pomszczenia jego śmie[illegible] i to przypuszczała, że padł ofiarą bandytó[illegible] skiego. Zamiar ten pomimo przedstawień Sta[illegible] i stryjaszka Józefa, pomimo próśb matki, wy[illegible] natychmiast.

Tymczasem Antkowi nie groziło żadne nie[illegible] pieczeństwo. Wydostał on się z oblężonego pr[illegible] bandytów dworu w Górach, wtedy dopiero, gdy [illegible] dokonawszy rabunku pieniędzy, wynieśli się równie[illegible] szybko, jak przyszli. Nie wiedząc gdzie szukać Anielki i Jasińskiego, po krótkim namyśle, postanowił udać się do X., zwołać tam radę najwyższą nowej rzeczypospolitej, której to rady był członkiem i opowiedzieć jej historyę napadu na Góry i domagać się ukarania Jasińskiego i jego bandy.

Na szczęście, gdy przybył do X. dzień już był widny i nowa siła zbrojna, złożona z kilkudziesięciu ludzi, odbywała już ewolucye wojenne na rynku miasteczka, którym przypatrywały się tłumy żydziaków i żydówek brudnych i obszarpanych. Nie mało jednak musiał Antek ponieść trudów i stracić parę godzin, nim zdołał zwołać ową radę najwyższą, gdyż członkowie jej, po pracach i wzruszeniach dnia poprzedniego, zasypiali jeszcze w najlepsze, pewni, że ich improwizowanej rzeczypospolitej nic zagraża w tej chwili żadne niebezpieczeństwo, i że ich nadziei uszczęśliwienia ludzkości nic nie zakłóci.

To też nadzwyczajnie byli zdziwieni, gdy im Antek opowiedział historyę napadu na Góry i gdy oskarżył o to Jasińskiego. Mowę swoją zakończył temi słowy:

— Jesteśmy socyalistami, stworzyliśmy republikę socyalną, ale jesteśmy ludźmi idei, nie zbrodniarzami. Takie czyny jak napad na Góry, zabicie bezbronnej kobiety, porwanie innej, rabunek pieniędzy, plami nasze czyste zamysły i winny uledz surowej karze. Domagam się tej kary, domagam się, by śmierć kobiety była pomszczona, by odszukano Jasińskiego, odebrano mu pannę Anielę Schmidt i ukarano jak należy, by dano surowy przykład i zapewniono w naszej rzeczypospolitej bezpieczeństwo osobiste jej obywatelom a naszym towarzyszom i towarzyszkom.

Ale nie wszyscy członkowie rady najwyższej zgadzali się na to. Byli tacy, którzy twierdzili, że dobrze zrobiono, że burżujom zabrano pieniądze, których nowa rzeczpospolita nie posiada, że porwanie Anielki jest sprawą czysto prywatną, że nie można skazywać Jasińskiego, nie wysłuchawszy go wprzódy.

— Czekajmy, aż przybędzie do X. a wtedy zobaczymy.

— Ale Jasiński wcale nie przybędzie do X. — odpowiadał na to Antek mocno podrażniony tym oporem — i ręczę za to, że dziś jeszcze siądzie na kolej i ucieknie do Warszawy.

— Jeżeli ucieknie, no... to wtedy okaże się winnym i skazany będzie na śmierć, która go wcześniej czy później, choćby nie wiem gdzie się skrył, nie minie.

Ponieważ pociąg z X. odchodził za dwie godziny, więc Antek wyjednał tyle, że mu dodano do pomocy dwóch uzbrojonych w brauningi towarzyszy, którym rozkazano udać się na stacyę kolei i jeśliby Jasiński się tam zjawił i chciał uciekać, niezwłocznie wykonać na nim wyrok śmierci. Przeprowadziwszy w ten sposób te sprawy z niemałym tru dem, bo byli i tacy, którzy takiemu warunkowemu wyrokowi się sprzeciwiali, udał się Antek w towarzystwie dwóch zbrojnych towarzyszy na stacyę kolei, oddalonej od miasteczka X. o parę wiorst.

Był śmiertelnie znużony i zdenerwowany temi wszystkiemi sprawami, a nadewszystko głęboko zasmucony rozdźwiękiem jego najwznioślejszych idei z rzeczywistością. On marzył o wspaniałej, szlachetnej i czystej republice, a spotkał się z prywatą, zbrodnią, rabunkiem i ludźmi, którzy wszystkie te czyny uznawali za dobre i usprawiedliwili je zupełnie.

Idąc na kolej ze swymi towarzyszami, prostymi wyrobnikami, dla których socyalna republika przedstawiała się jako możność próżnowania i używania, rozmyślał o tem wszystkiem i powziął zamiar uczynienia zamachu stanu na najwyższą radę, wypędzenia z niej niegodnych członków i ogłoszenia się dyktatorem.

— Gdy urządzę wszystko, tak jak ...lę, złożę dyktaturę i wrócę do ...prywatnego — mówił sobie. — ... że są ludzie z którymi bez ...ic poradzić nie można.

... ta konkluzya zasmuciła go ... Dzień był gorący. Lipy przy...ne kwitły i woń słodką rozsiewały ...koła. Koło ich złotawego kwiecia ...atywały się gromadnie pszczoły i ...zmerem a brzęczeniem napełniały powietrze. Lekki, ciepły wietrzyk chwiał łamami dojrzewającego zboża. przepiórki ćwierkały głośno i od pól szedł zapach ziemi, spokój rozkwitłej w pełni życia natury. Nad łąkami unosiły się gromady jaskółek, bocian z szerokiemi skrzydłami płynął w błękicie i rzucał ruchliwy cień na ziemię.

Wielka cisza i wielki spokój drzemał w naturze, a w duszy Antka wrzała straszna burza i straszniejsze jeszcze rozczarowanie. Wstrząśnięty był do głębin i zdenerwowany. A przytem dręczyła go myśl o Anielce, bo co się z nią stać mogło, gdzie ją Jasiński ukrył i czy nie dopuścił się na niej jakiego haniebnego gwałtu.

Na myśl o tem kroplisty pot występował na czoło Antka, ściskał w dłoni sękatą pałkę i przysięgał sobie, że z wyrokiem, czy bez wyroku, zabić musi tego niegodnego łotra Jasińskiego.

Ale już było widać zabudowania kolejowe i słychać przeciągły świst lokomotywy.

XXVIII.

Na stacyi kolei ruch był niezwykły. Mnóstwo osób, należących do sfer t. zw. inteligencyi lub zamożniejszych uciekało, chcąc wynieść się z pod władzy nowej rzeczypospolitej; uciekały też tłumy żydów, bo rozeszła się pogłoska, że ich będą bić. Władze rządowe nie były tu obecne, telegraf zerwany, a urzędnicy kolejowi mocno zaniepokojeni. Scisk, płacz, narzekania i klątwy krzyżowały się na wszystkie strony.

Antek patrząc na to wszystko, mówił sobie, że to nowe uszczęśliwienie ludzi, jakie zapowiedziała rzeczpospolita w X. wcale jakoś na szczęście nie wygląda. Ale nie było czasu na tego rodzaju rozmyślania. Pociąg miał odejść za pół godziny i w tym ruchliwym tłumie należało koniecznie odszukać Jasińskiego.

Lecz teraz nowa wątpliwość powstała w duszy Antka. W pierwszem uniesieniu gniewu i rozgoryczenia przeciw Jasińskiemu za porwanie Anielki i zbójecki napad na Góry, domagał się usilnie od rady republikańskiej, aby go skazano na śmierć, ale teraz miał czas ochłonąć i począł żałować, że dał się porwać gniewowi.

— Co mi przyjdzie z jego śmierci — mówił sobie — zabiją go i ja się nie dowiem nawet, co się stało z Anielką. Ja chcę, żeby mi ją oddał i żeby zwrócił jej posag, a zresztą niech go sobie gdzieindziej wieszają, czy zabijają. Jakie ja mam prawo do życia cudzego? Domagając się jego śmierci popełniłem zbrodnię, a nadewszystko grube głupstwo. Nie! nie mogę pozwolić na to, by go tu zabijano. Przyaresztuję go tylko i odprowadzę do X., niech sobie tam z nim robią. co im się żywnie podoba. Ja od



Koło południa przyjechała furą chłopską siedząca na wiązce słomy panna Aniela.

tego ręce umywam. Mnie w tej chwili idzie tylko o to, by mi powiedział, gdzie jest Anielka. Nie! nie pozwolę na to, by go tu zabijano, nie pozwolę!

Ale łatwiej to było powiedzieć niż wykonać. Gdy Antek oznajmił o swem postanowieniu dwom dodanym mu „towarzyszom", ci stanowczo odrzekli, że nie myślą go pod tym względem słuchać, że mają rozkaz zabicia Jasińskiego i rozkaz ten wykonają, choćby mieli swój czyn życiem przypłacić.

— Jasiński jest zdrajcą, a zdrajców zabija się jak psów wściekłych — mówili.

Byli to dwaj młodzi ludzie, podobno rzemieślnicy, przybyli z Warszawy, natury proste i grube, zdziczałe na ulicach wielkiego miasta, olśnione obietnicami wywrotu, ślepo wierzące w płodność nowego porządku rzeczy, oczekując od niego uszczęśliwienia, zbytku, dobrobytu, nienawidzące burżujów i wszystkich, którzy ponad tłum się wzbili. Trudna była z nimi sprawa, ale Antek jednak, przerażony następstwami swych domagań się, czyniąc sobie gorzkie wyrzuty, usiłował „towarzyszów" przekonać, że źle zrobią, jeśli zabiją Jasińskiego.

— Tak — mówił — otrzymaliście taki rozkaz, który macie wykonać wtedy tylko, jeśli przekonacie się o zdradzie Jasińskiego. A jakimże sposobem tutaj możecie się o tem przekonać?

— Bardzo prostym sposobem — odrzekł jeden z nich — jeśli Jasiński kupi bilet i będzie chciał uciekać. Będzie to najoczywistszym dowodem jego zdrady i wtedy puścimy w ruch brauningi!

Smiał się mówiąc i uważając zmiar swój za zupełnie godziwy i słuszny. Napróżno Antek przedstawiał im, że nie można nikogo karać, nie wysłuchawszy wprzódy, co powie na swe usprawiedliwienie, że, jeżeli Jasiński jest zdrajcą, to w każdym razie lepiej będzie przytrzymać go, zaprowadzić do X. i tam go zbadać:

— Kto wie — mówił — może się dowiemy od niego ciekawych rzeczy, może uda nam się wydobyć z niego jakie zeznanie.

— To do nas nie należy — odpowiadali — starszyzna nasza wie, co czyni. Dała nam rozkaz i my go wykonamy. Twój, towarzyszu, opór temu rozkazowi pachnie także zdradą. Pamiętaj, że w brauningach naszych jest po sześć strzałów.

Antek nie uląkł się tej groźby.

— Głupcy jesteście i basta! Ja, jeżeli wam to proponuję, to dla dobra rzeczypospolitej naszej, a wy tego zrozumieć nie chcecie.

Po długich nakoniec sporach i naleganiach, wyjednał u nich to, że pozwolili mu wprzódy rozmówić się z Jasińskim.

— Ale w naszej obecności — dodali.

— Dobrze, niech i tak będzie. A teraz uważajmy i szukajmy Jasińskiego.

Było to zadanie bardzo trudne, bo tłum wzmagał się, zamęt rósł i ciągle na stacyę nowe osoby przybywały. Zwłaszcza żydostwo napełniało ją gwarem i wrzawą. Zydowice obciążone tobołami, ciągnąc za sobą krzyczące dzieci, same przerażone czegoś krzyczały, jęczały, kłóciły się ze sobą i towarzyszącymi im mężami. W tym tłumie zbitym, ruchliwym i wrzaskliwym, pojedyncza osoba ginęła zupełnie; ale „towarzysze" Antka widocznie wiedzieli, jak sobie w takim razie poradzić. Stanęli bowiem tuż przy okienku kasowem i bacznie obserwowali wszystkie osoby, kupujące bilet podróży. Mimo to, nie znając dobrze Jasińskiego, mogli się byli łatwo pomylić, ale pod tym względem dopomógł im Antek.

I on bowiem bacznie oglądał wszystkich zbliżających się do kasy, których przewijały się tłumy i powoli, gdy czas upływał, tracił nadzieję ujrzenia Jasińskiego, z czego jeżeli z jednej strony był bardzo zmartwiony ze względu na Anielkę i jej pieniądze, to z drugiej czuł pewną ulgę, że ohydne, jak je teraz przed sobą samym nazywał, zabójstwo nie przyjdzie do skutku. Już tłumy przy kasie poczęły rzednąć, odezwał się nawet pierwszy dzwonek i Antek wolniej oddychał, bo mówił sobie:

— Anielka jest dzielną i energiczną kobietą i nie jest szpilką, żeby miała zginąć. Wcześniej, czy później znajdzie się, a Jasiński niech sobie idzie gdzieindziej szubienicy poszukać.

Gdy wtem do kasy zbliżył się jakiś mężczyzna, którego na razie Antek uznał za zupełnie sobie nieznajomego, ale który jednak zwrócił jego uwagę swoim ubiorem i starannem ukrywaniem twarzy. Miał bowiem na sobie długie palto, sięgające do kostek, od którego kołnierz podniósł, choć to był lipiec i słońce dopiekało mocno. Głowę jegomość ów nakrył kapeluszem o szerokich skrzydłach, mocno naciśniętym na czoło. Z pod tego kapelusza widać było tylko duże, wypukłe, ciemne okulary, z poza których oczów niepodobna było dostrzedz. Twarz pan ten, o ile oczywiście dojrzeć ją można było, miał starannie wygoloną, podczas kiedy Jasiński nosił wąsiki ciemne i modnie, jak u chrabąszcza rozstrzępione na końcach. Ruchy jegomość ów miał niepewne. Antek zauważył go już zdaleka, jak wszedł do sali, jak się zatrzymał na progu i rozglądał się dokoła, jak z głową spuszczoną i wtuloną w kołnierz paltota, po niejakim namyśle zbliżył się do kasy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Za Ocean po lepszą dolę.

Jedną z najpożyteczniejszych instytucyi, jakie w ostatnich latach powstały w naszym kraju, jest Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie, które postawiło sobie za cel opiekę nad wychodźcami i kierowanie ruchem emigracyjnym zgodnie z interesami naszego społeczeństwa.

Oprócz biura podróży i biura pośrednictwa pracy, prowadzi Towarzystwo wypożyczalnię książek dla wychodźców, wydaje ciągle przewodniki i słowniki, oraz własny organ, poświęcony wyłącznie sprawom emigracyi. Utrzymuje także biuro bezpłatnej porady prawnej dla wychodźców i bezpłatne biuro informacyjne. W ubiegłym roku założono we własnym domu przy ulicy Radziwiłłowskiej w Krakowie pierwsze w naszym kraju schronisko noclegowe dla wychodźców, dające wygodny przytułek przejeżdżającym przez Kraków emigrantom. Posiada ono sto łóżek, doskonale urządzone umywalnie, łazienkę, pokój dezynfekcyjny oraz przestronne poczekalnie, oddzielne dla wychodźców sezonowych, tak zwanych obieżysasów, oddzielne dla emigrantów zamorskich, którzy niechętnie stykają się z wędrownikami sezonowymi, posiadającymi w swem gronie niekiedy żywioły bardzo niepewne i dla amerykańskich dolarów nie zawsze bezpieczne.

W tym roku schronisko Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego udzieliło już przeszło 14 000 noclegów, w tej liczbie około 11.000 bezpłatnie. Przepełnione na wiosnę, latem, gdy ruch emigracyjny słabnie, posiada czasem dość miejsca, aby dawać gościnę wycieczkom młodzieży szkolnej lub włościańskim, przybywającym do Krakowa w celu zwiedzenia miasta.

Polskie Towarzystwo Emigracyjne otacza wychodźców opieką o ile możności również podczas podróży i skoro na jednym okręcie jedzie większa ilość włościańskich rodzin polskich, stara się, aby towarzyszył im delegat z intelligencyi, znający języki i mogący w razie potrzeby interweniować na ich korzyść. Misyi takiej podjął się teraz jeden z współpracowników *Nowości illustrowanych*, pan Wacław Lipiński, który zainteresowawszy się Ameryką południową i postanowiwszy w celu poznania tamtejszych stosunków odbyć kilkumiesięczną podróż, przyjął propozycyę P. T. E., aby podczas podróży przez Ocean opiekować się jądącymi na tym samym okręcie zaspokoić swój „głód ziemi“ w Paranie bezrolnymi wieśniakami z Królestwa Polskiego. Współpracownik nasz wsiadł w dniu 23. b. m. na statek Crefeld, odchodzący z Bremy i z podróży swej nadsyłać nam będzie swe spostrzeżenia illustrowane własnemi zdjęciami fotograficznemi.



Za Ocean po lepszą dolę: Grupa wychodźców z Królestwa Polskiego przed odjazdem do Parany przed gmachem Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego

Jedna z zamieszczonych w niniejszym numerze illustracyi przedstawia naszego współpracownika stojącego przed gmachem P. T. E. otoczonego gromadką tych, którzy powierzeni jego opiece wędrują już za daleki Ocean, aby następnie szukać w parańskich borach lepszego bytu, a przedewszystkiem ziszczenia się ich marzeń, niestety w ojczystym kraju niewykonalnych, by posiąść nareszcie własny dach nad głową i kawałek własnej roli.

Na drugiej rycinie widzimy poczekalnię, przeznaczoną dla robotników sezonowych, wędrujących za zarobkiem na obczyznę. Fotograf nasz dokonał zdjęcia w chwili, gdy przybyły z zagranicy pracodawca przy pośrednictwie kierownika tego oddziału p. B. Roji umawia się z robotnikami co do warunków, na jakich zamierza ich zatrudnić.

Akcya ratunkowa dla Macierzy Śląskiej w Samborze.

Za przykładem innych miejscowości w kraju zawiązał się w Samborze za inicyatywą Ogniska Polskiego komitet, który wziął sobie za zadanie zebrać na przebywającą ciężkie finansowe przesilenie Macierz Śląską, pewną, stosunkom miejscowym odpowiadającą kwotę.

W pracach komitetu wzięła wydatny udział samborska młodzież akademicka, stowarzyszona w Zniczu, która zupełnie samodzielnie urządziła z początkiem miesiąca piękny festyn w miejskim ogrodzie. Gorliwe jej usiłowania i rzetelna praca około tego



Za Ocean po lepszą dolę: W poczekalni Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie.

przedsięwzięcia przyniosły piękny rezultat w postaci przeszło pięciuset koron czystego dochodu, które odesłano już Zarządowi głównemu M a c i e r z y w Cieszynie.

Przykład młodzieży samborskiej powinien zachęcić do naśladownictwa nasze narodowe towarzystwa akademickie i w innych miastach, brzydkoby to bowiem świadczyło o naszem społeczeństwie, gdybyśmy pozwolili upaść tak pożytecznej i zasłużonej instytucyi, prawdziwej placówce ku obronie polskości na kresach zachodnich.



Piłka nożna na prowincyi: Kluby sportowe „Sandecia" i „Grunwald" w Nowym Sączu. (Fot. J. Zacharski, Nowy Sącz).

Obecnie krząta się komitet około zbierania składek od okolicznego obywatelstwa na rzecz M a c i e r z y. Piękny początek zrobił już znany z ofiarności na cele narodowe marszałek Rady powiatowej samborskiej, pan Sozański, który ofiarował na ten cel kwotę trzystu koron. Jeśli obywatelstwo ziemi samborskiej pójdzie za jego przykładem, o czem zresztą ani na chwilę wątpić nie można, to komitet O g n i s k a będzie mógł mieć zadowolenie, że spełnił należycie obywatelski i narodowy obowiązek, który, oby jak największą znalazł liczbę naśladowców.

Ofiarności na cele narodowe powinniśmy się uczyć od naszych wrogów, którzy mniej mówią a więcej czynią, dlatego też mogą się wykazać daleko pozytywniejszymi rezultatami pracy.

Illustracya umieszczona w niniejszym numerze, przedstawia grupę młodzieży samborskiej podczas festynu na rzecz M a c i e r z y S z k o l n e j w Cieszynie.

Piłka nożna na prowincyi.

Sport footballowy, który takie tryumfy święci w obu naszych stolicach, zdobywa sobie coraz więcej zwolenników i w miastach prowincyonalnych całej Galicyi. Garnie się do niego młodzież wszelkich zawodów, tak akademicka, jak uczniowie szkół średnich i rękodzielnicza. Tworzą się wszędzie kluby sportowe, które wpływają bardzo dodatnio na zbliżenie się do siebie młodego pokolenia, uprawiając zaś intenzywnie modną obecnie zabawę, przyczyniają się też do zahartowania ciała.

Piłka nożna ma wielu zwolenników, nie brak jednakowoż i ludzi, którzy dość sceptycznie na nią się zapatrują. twierdząc, nieraz może i słusznie, że jest to zabawa, która więcej może wyrządzić szkody, niż przynieść korzyści. Zdaje się, że jedni i drudzy mają racyę, football, o ile uprawiany jest z umiarkowaniem, powinien zyskać uznanie, przesada w każdym kierunku nie jest pożądaną.

Za przykładem Lwowa i Krakowa założono i w pięknem, podgórskiem mieście, Nowym Sączu, kilka klubów sportowych, uprawiających grę w piłkę nożną, z których najwybitniejszymi są S a n d e c i a i G r u n w a l d. S a n d e c i a, istniejąca od roku, składa się z młodzieży akademickiej i rękodzielniczej, która nie mając czasu na należyty training, musiała też uledz w stosunku 2 : 0 na matchu rozegranym w dniu 10 b. m. na błoniach wojskowych, oddalonych prawie o dwa kilomytry od miasta, starszemu i silniejszemu G r u n w a l d o w i, złożonemu z młodzieży gimnazyalnej. Funkcyę sędziego pełnił stale tak ubiegłego roku, jak i teraz p. Władysław Giercuskiewicz, członek lwowskiego klubu sportowego „Czarni".

Przy jej sposobności warto zaznaczyć, że Rada miejska nowo sądecka i Tow. opieki nad młodzieżą, starają się o założenie tak potrzebnego „Parku gier i zabaw ruchowych dla młodzieży". Przeznaczono już nawet zupełnie odpowiednie miejsce obok starego cmentarza, tymczasem jednak, jak słychać, pierwotnie planowane tereny mają być po ukończeniu inwestycyi miejskich obrócone na zupełnie inne cele.

Rumacya Bazylianek we Lwowie.

Antagonizm dwóch zaciekle zwalczających się stronnictw ruskich w Galicyi, a mianowicie partyi staroruskiej, czyli moskalofilskiej i partyi ukraińskiej, zaznacza się nietylko w dziedzinie polityki czynnej, ale wkracza od czasu do czasu także w sferę stosunków prawno-prywatnych. Jeden z takich jaskrawych epizodów walki rozegrał się w ostatnich dniach na ulicach Lwowa, a ofiarą padły tym razem zakonnice ruskie SS. Bazylianki, które drogą rumacyi zmuszono do opuszczenia zajmowanej dotąd na klasztor i internat realności, będącej własnością Starorusinów.

Przebieg tej sprawy, która przez dwa tygodnie pochłaniała uwagę Lwowa jest następujący. Moskalofile lwowscy przegrali jak wiadomo przed niedawnym czasem we wszystkich instancyach proces o posiadanie dzierżawionego przez nich dotąd „Domu narodowego", ufundowanego na rzecz ogółu Rusinów Lwowa. Nie mogąc przeboleć tej dotkliwej straty, postanowili szukać na zwycięzkich swych przeciwnikach Ukraińcach odwetu, również w sferze prawno prywatnej. Sposobność do tego nadarzyła się niebawem.

Solą w oku Starorusinów była oddawna działalność ukraińskiego klasztoru SS. Bazylianek, które miały pomieszczenie w realności przy ul. Zyblikiewicza l. 30 należącej do jednej z późniejszych fundacyj Narodnego domu. Ponieważ partya staroruska poszukiwała w tymże czasie pomieszczenia dla



Akcya ratunkowa dla Macierzy Śląskiej w Samborze: Komitet akademickiego towarzystwa „Znicz".

analogicznego pensyonatu „ruskich dam", postanowiła przeto w krótkiej drodze pozbyć się Bazylianek, a ich pomieszczenie oddać własnemu zakładowi. Wypowiedziano tedy sądownie lokal Bazyliankom z dniem 31 sierpnia b. r.

SS. Bazylianki czując, że nie będą mogły utrzymać się przy zajmowanym dotychczas lokalu, w przewidywaniu niekorzystnego orzeczenia, sądowego dokupiły w międzyczasie przylegające grunta od strony ulicy Mochnackiego, z dwoma parterowymi domami.



Nowy minister wojny: Jenerał piechoty Maurycy Auffenberg.

Do tych domów tuż po otrzymaniu awizacyi sądowej przeniosły się z klasztorem i internatem, dla zasady jednak, celem wywołania oburzenia w mieście dla swych wrogów, a współczucia dla siebie jako ofiar prześladowania, postanowiły ustąpić dopiero przed siłą. W tym też celu pozostawiły pewną część sprzętów w wypowiedzianym lokalu i postanowiły do ostatniej chwili wytrwać na posterunku. Gdy w dniu 15 b. m. przed bramą klasztoru zjawił się wóz meblowy firmy Leinkaufa z egzekutorem sądowym, nie wpuszczono komisyi poza furtę klasztorną.

Komisya na razie nie chcąc wywoływać skandalu cofnęła się i rozpoczęły się ponowne rokowania z Siostrami. Sąd pragnął dla uniknięcia przykrej ewentualności przymusowej eksmisyi, skłonić zakonnice do dobrowolnego ustąpienia. Nadaremno wzywano też interwencyi ks. metropolity Szeptyckiego, aby gorszącemu zatargowi kres położył.

Ostatecznie SS. Bazylianki postawiły na swojem i ustąpiły dopiero przed siłą, gdy komisya sądowa w dniu 18 b. m. przeprowadziła przymusowe opróżnienie klasztoru. Siostry Bazylianki dopiero na wezwanie komisarza, sądowego grożącego im przymusowem wyprowadzeniem, opuściły w pochodzie demonstracyjnym progi swej dotychczasowej siedziby, udając się do nowego własnego lokalu przy ulicy Długosza. Dla zasady jednak i celem przedłużenia sporu, bogobojne Siostry zatrzymały klucz od kościoła i klasztoru, tłómacząc się, że nie zdołały jeszcze rzeczy swoich z tamtąd usunąć. Klucze od cerkwi złożone są w ordynaryacie aż do decyzyi ks. Metropolity.



Rumacya Bazylianek we Lwowie: Dziedziniec Zakładu. (Fot. M. Münz, Lwów).

Po awanturach głodowych w Wiedniu.

Widownią najgroźniejszych zamieszek w czasie zeszłotygodniowej rewolty głodowej w Wiedniu, była dzielnica Ottakring, dokąd płynęły tłumy manifestantów, wypartych ze śródmieścia przez policyę i wojsko. Rozpoczęło się plądrowanie i demolowanie sklepów z artykułami żywności, następnie zaczęto tłuc szyby w budynkach publicznych, zwłaszcza w szkołach. W szkole na rogu Hasnergasse i Hippgasse wybito wszystkie szyby i zburzono ogrodzenie gmachu, następnie zaatakowano probosczówkę „Altlerchenfeldzkiego" kościoła. Z plantacyi wyrywano ławki i zaczęto budować barykady, z okien wyrzucano na ulicę ławki, książki i szafy.

Okazało się, że policya jest za słabą, za żądano pomocy wojska. Tłum powitał je wrzaskiem i gradem kamieni, piechota musiała bagnetami torować sobie drogę. Chwilami udawało się zepchnąć masy w boczne ulice, starcia jednak wybuchały równocześnie w kilkunastu miejscach. Niераz trzeba było szarż kawaleryi, aby rozpędzić gromady tłukące szyby i wystawy sklepowe, najgorętsze walki zaś staczano tam, gdzie tłum oszańcował się rodzajem barykad.

Tak upłynęło całe popołudnie, aż do zapadnięcia zmroku. Ze śródmieścia napływały ciągle posiłki, po drodze tłuczono szyby w kawiarniach i domach prywatnych. Wywrócono wóz z piwem, beczki potoczono pod nogi policyantów i ułanów. Dziesięciu demonstratów odniosło rany od szabel.

Gdy zmrok już zapadł, zaburzenia przybrały charakter rewolucyjnych zamieszek. Tłum wdarł się do szkoły przy placu Hofera, zdemolował wewnętrzne urządzenie, nakoniec podłożono ogień, rzucając weń bibliotekę i podsycając płomienie naftą. Ruszono pod drugą szkołę, lecz tam zastano już wojsko. Posypały się kamienie, jeden zranił w głowę porucznika dowodzącego oddziałem. Gdy ekscedenci poczęli bić w straszny sposób ajenta policyjnego, porucznik kazał nabijać broń, sądząc, że tłum przerazi się i ustąpi. Tymczasem posypał się nowy grad kamieni, jeden uderzył w głowę plutonowego. Wówczas wojsko zrobiło użytek z broni. Na miejscu zginął robotnik Ploetzenberger, ośmdziesiąt dziewięć



Rumacya Bazylianek we Lwowie: Pensyonarki Zakładu. (Fot. M. Münz, Lwów).



Po awanturach głodowych w Wiedniu: Zdemolowane przez ekscedentów ogrodzenie przed szkołą w dzielnicy Ottakring.



Rumacya Bazylianek we Lwowie: Zakonnice wraz z wychowankami w ogrodzie zakładowym. (Fot. M. Münz, Lwów).

osób poniosło cięższe i lżejsze rany od szabel i kul.

Dopiero teraz poczęły się tłumy rozpraszać, a policya mogła przystąpić do usunięcia barykad i przecinania drutów kolczastych, które poprzeciągano wszerz ulic, aby uniemożliwić szarże kawaleryi.

W dzielnicy tej zaprowadzono pewien rodzaj stanu wyjątkowego, dzięki któremu ekscesy już się więcej nie powtórzyły.

Nowy port wojenny niemiecki.

Niemcy, rywalizując z Anglią o przewagę na morzu i obawiając się, że z jej strony może im grozić największe niebezpieczeństwo, nie ustają w przygotowaniach do przyszłej wojny, która rozegrałaby się niezawodnie na morzu Północnem. W tym celu wybudowali już kanał Wilhelma, łączący Bałtyk z morzem Północnem i dozwalający na szybkie przerzucenie tamże floty bałtyckiej, starają się także o zakładanie wzdłuż wybrzeża portów wojennych, któreby mogły stanowić podstawę i punkt oparcia dla operacyi wojennych ich floty.

Wydatki na jej pomnożenie i wyekwipowanie w najnowsze zdobycze i wynalazki z dziedziny marynarki wojennej, pochłaniają corocznie miliony. Każdy Niemiec uważa jednak za punkt honoru narodowego, aby flota „Jego Cesarskiej Mości“ była pierwszą w świecie, choć podatki gniotą.

Obecnie urządza się na wybrzeżu Helgolandu kolosalny port wojenny z arsenałem, warsztatami okrętowymi, dokami i t. d., aby tem bardziej wzmocnić swą pozycyę na morzu Połnocnem. Anglia patrzy na to z niepokojem, wiedząc dobrze, że wszystkie te zbrojenia i przygotowania skierowane są pod jej adresem, gdyby bowiem przyszło kiedyś do starcia, spotkanie z Francyą miałoby miejsce na lądzie, z Anglią na morzu. Rząd Zjednoczonych królestw nie zasypia także gruszek w popiele i ze swej strony robi wszystko, aby nie dać się przewyższyć na tem polu Niemcom, mniej się jednak chwali, stąd też w pismach politycznych mniej stosunkowo spotykamy wiadomości o angielskich zbrojeniach, zwłaszcza, że i król Jerzy nie jest tak gadatliwy, jak jego braciszek cioteczny z nad Sprewy.

Helgoland, to mała wysepka nieopodal ujść Elby i Wezery, położona o czterdzieści cztery kilometry od lądu stałego a mająca zaledwie pół kilometra powierzchni. Ludność nie dochodząca nawet do trzech tysięcy, jest pochodzenia fryzyjskiego i zajmuje się rybołowstwem i żeglarstwem, tudzież usługą cudzoziemcom, przybywającym tutaj podczas lata na kąpiele.

Dawniej należał Helgoland do Szlezwigu, w roku 1807 zajęli go Anglicy, potem Duńczycy. Od r. 1814 do 1891 należał znowu do Anglii. W r. 1891 Anglia odstąpiła go Prusom, które Helgoland ufortyfikowały i wcieliły do prowincyi Szlezwig Holsztyn.



Miejsce zamachu na Stołypina: Gmach teatru w Kijowie.



Nowy port wojenny niemiecki: Ogólny widok będącego obecnie w budowie portu wojennego na Helgolandzie.

KAMIL PERT

Dramat w domu obłąkanych

10 Powieść.

Marceli wybuchnął znowu:

— Otóż takim właśnie wrażeniom i uczuciom dowierzać nie należy!... Ludwika, z przyczyn osobistych nie kochała męża... Ona i pan, mój przyjacielu, macie oboje nieskończoną ilość powodów życzyć sobie, aby nieszczęśliwy był winowajcą!

Varin zaczerwienił się po uszy i zawołał:

— O! proszę pana, chyba nie chcesz powiedzieć, że przez złość oskarżam Mikołaja!

Marceli odparł żwawo:

— Broń Boże!... Przekonany jestem głęboko, tak o pańskiej, jak o żony Sempuis szczerości!... Przyznaję również, obwiniają go liczne pozory... tylko utrzymuję, że byłoby rzeczą zgubną i nieracyonalną ulegać uprzedzeniom. Więc nie należy twierdzić, że Sempuis jest nędznikiem dlatego, że go żona nie kocha i pragnie męża opuścić, aby poślubić innego!

Pani Manescault zauważyła w odpowiedzi:

— Masz słuszność!... Nie trza jednakże również systematycznie zamykać oczu, pomnąc jedynie o usługach przez niego oddanych. Wiem tak dobrze, jak ty, że mąż mój pokładał w nim zaufanie bez granic, lecz mógł przecie i on się mylić... mógł być oszukany przez człowieka, którego wszyscy uważają za ponurego, zamkniętego w sobie i skrytego...

Guillaume przerwał:

— Pozwoli pani sobie powiedzieć, że wszystkie jej spostrzeżenia, równie jak uwagi, wygłoszone przez pana Marcelego Robertin, są zupełnie zbyteczne... Mogłyby nas tylko w błąd wprowadzić... W sprawie kryminalnej należy przedewszystkiem opierać się na fundamencie faktów pozytywnych, nie zaś na ocenianiu ludzi z uczuciowego punktu widzenia.

Pani Manescault odparła żwawo:

— Nie podzielam pańskiego zdania!... Bardzo często fakta oskarżają niewinnych, gdy przeciwnie ściśle logiczne zbadanie charakteru, pozwala rzec śmiało: „Nie! ten nie może być winowajcą!" albo: „Tak! ten jest nim niezawodnie!"

Guillaume zaprzeczył poruszeniem głowy.

— Niezawodnie?!... Kto o kimkolwiek może wydać sąd niezawodny? Wszakże tu właśnie mamy dowód, jak rzecz jest niemożliwa!... W chwili, gdy pani oświadcza, że Sempuis mógł mord popełnić, bratu jej to przekonanie wydaje się całkiem nieprawdopodobne, a nawet oburzające!

Marceli zawołał:

— Opieram moje mniemanie na tem, że w ciągu wielu lat Sempuis okazywał się wzorowym sługą i najskrupulatniej uczciwym człowiekiem... sądzę więc, że nie podobna, aby w ostatnich dniach zmienił charakter i stał się zbrodniarzem, mordercą chlebodawcy, do którego szczerze był przywiązany.

Z równie gorączkowem uniesieniem odpowie działa bratu pani Manescault:

— Nie zaprzeczam temu wszystkiemu, co mówisz, lecz zwracam ci uwagę, że nie obserwowałeś Mikołaja tak specyalnie, jak ja, od czasu, gdy się ożenił, nie mogłeś zatem wiedzieć, co się dzieje w jego duszy... Ludwika przychodziła do mnie dość często, aby mi pomagać w moich robotach i zajęciach. Rozmawiałyśmy z sobą tak, jak rozmawiają kobiety, zajmujące wprawdzie różne stanowiska. lecz których życie domowe jest do siebie podobne. Sempuis ubóstwiał swoją żonę do szaleństwa... Był przytem bardzo zazdrosny... więc przekonana jestem, że uczyniłby wszystko, żeby tylko mieć pewność, że Ludwika pozostanie mu zawsze wierną. Wiedział, że jest trochę zalotną, niezbyt czynną, lubiącą wygody, posiadającą upodobania nad stan... nie byłoby zatem nic dziwnego, że mając fortunę pod ręką, która mogła zaspokoić najgorętsze i najnieprawdopodobniejsze pragnienia Ludwiki, a równocześnie pozbawić ją względem niego wszelkiego rankoru i usunąć od niej wszelką pokusę... że on tę fortunę pochwycił chciwie, zamknąwszy oczy i nakazując sumieniu milczenie, zgadzając się nawet z góry na ohydne i groźne skutki zbrodni, byle tylko uczynić zadość zamierzonemu i pożądanemu celowi.

Marceli wzruszył ramionami.

— Całe to rozumowanie jest bardzo subtelne... ja jednak wierzę dalej, że człowiek prosty, jak Sempuis, gdy jest uczciwym człowiekiem, pozostaje nim całe życie!... Wina doktora Jintot wydaje mi się stokroć prawdopodobniejsza, od domniemanej winy tego biednego człowieka!

Guillaume odpowiedział na to:

— To także sprawa uczucia... bo przecież nie wiemy na pewno, co spowodowało aresztowanie doktora. Zresztą karygodność jednego, choćby stwierdzona, nie dowodziłaby wcale niewinności drugiego. Doktor, wraz z naczelnym dozorcą zakładu, mogli wspólnie popełnić zbrodnię. A nawet, byłoby logicznem, gdyby się znalazł trzeci... a może i czwarty współwinny... Dowodzi tego poniekąd podział pieniędzy. Wiemy, że cały majątek pana Laborda dosięgał dwóch milionów... W chwili, gdy jeden ze wspólników posiada jedną czwartą sumy, przypuszczać można, że czyn spełniony został przez cztery osoby, które podzieliły się łupem po równej części... albo, że osoba głównie interesowana, zatrzymała połowę kapitału, a drugą połowę rozdzieliła między swoich wspólników...

Blady, z ogniem płonącym w oczach, zawołał Marceli:

— Gdzie pan widzi tego drugiego... a raczej tych dwu drugich spólników?

Guillaume odpart suchym tonem:

— Ja ich raz wymieniłem. Zresztą nie obwiniam nikogo obecnie. Mówię tylko: fakta zmuszają przypuszczać, że doktor Jintot mógł mieć za spólników conajmniej Mikołaja Sempuis i Maurycego Berthaut.

Varin, posłyszawszy nazwisko ostatniego, rzekł żwawo:

— Proszę pana, czy pan chce prawdę wiedzieć? Otóż ja jestem przekonany, że kanalia Berthaut musiał w krwi ręce umaczać... Przedewszystkiem onej nocy, gdy popełniono zbrodnię, nie przysiągłbym, że to on uciekał z szaletu... a jednak był to niezawodnie człowiek, posiadający podobną do jego postawę..

Komisarz policyi spojrzał na ogrodniczka ze zdziwieniem.

— W nocy? Gdy popełniono zbrodnię? Co chcesz przez to powiedzieć?

Twarz Juliusza Varin oblała się ponsem, zmieszał się bardzo, a zmieszanie się jego wyraziło się głównie przymuszonym śmiechem.

— Och, och! mam ze długi język!... Nie chciałem mówić o tem... bo zresztą, nic ciekawego w tym względzie powiedzieć nie mogę... no! ale kiedy mi się już z gęby wyrwało...

Tu opowiedział szczerze detektywowi, jak przechadzał się nocną porą w towarzystwie Ludwiki, wyrażając się jednak oględnie i bez nacisku o schadzce Julii z Marsolem w zamkniętym kiosku. Pomimo to słowa młodego człowieka wywołały rumieniec wstydu na bladych licach pani Manescault.

Ajent, zdawał się zamyślony, słuchał przecież uważnie.

— W takim razie słyszałeś, jak wzywano pomocy z Pawilonu Bzów?

— Tak, proszę pana.

— Czy zwróciłeś uwagę na głos krzyczącego?... Czy mogłeś go rozpoznać?

— O, nie! proszę pana... Krzyk był jakby wołaniem i jakby zarazem zdławionym jękiem... Krzyk taki, mógł wyrwać się równie z gardła jednego, jak i drugiego...

— I widziałeś pan człowieka, wychodzącego z szaletu?

— Tak!... biegł ku zakładowi.

— Czy był wysoki?... Może gruby?

Julek wahał się czas jakiś, poczem rzekł po chwilowem zastanowieniu:

— Doprawdy, proszę pana, tego nie umiem powiedzieć!... Pan przecie rozumie, jak to jest w nocy. W ciemnościach można raczej domyślać się czegoś, niż widzieć... Na przykład: da się rozróżnić mężczyzne od kobiety... lecz nie sposób oznaczyć rozmiarów kształtu i oznak szczególnych. Zresztą, wszystko, na tle czarnem, co oczy dostrzegą, znika niezmiernie szybko i rozpływa się w jednej chwili...

— Czy nie przyszło panu na myśl ratować tego, który krzyczał?

— Z początku, proszę pana, myśleliśmy oboje, że to jakiś waryat wrzeszczy w napadzie furyi, a następnie chodziło nam samym przedewszystkiem o to, aby oddalić się jak najprędzej, bo ryzyko było niemałe... Kto zna Sempuisa, wie, że gdyby złapał żonę na schadzce z kawalerem, gotówby był ją ubić na miejscu!

— Dlaczego powiedziałeś pan, że Berthaut mógł być właśnie tym, który wymykał się z pawilonu?... Czy nie wiesz, że w ciągu onej nocy bawił w Orleanie?

Varin wzruszył ramionami.

— Ho, ho! W Orleanie?!... Niech pan temu nie wierzy!... Proszę zapytać córkę ojca Gaud, właściciela kawiarni w Villeneuve, czy był owej nocy i dnia następnego w Orleanie?

Guillaume drgnął całem ciałem.

— Co pan mówi?

— Powiadam, proszę pana, że podróż jego do Orleanu to tylko zmyślenie i udanie... Może się pan o tem przekonać bez wielkiego trudu... Berthaut siedział w Villeneuve czas cały... Ukrywał się w pokoju swojej narzeczonej, Celestyny, córki właściciela kawiarni w rynku... Widziano go tam, a dziewczyna, wobec swoich przyjaciółek stroiła nawet żarty z tego powodu!...

Marceli z widocznem niezadowoleniem poruszył głową.

— Mamy więc nowe historye! Gorzej od Mikołaja znam Maurycego, jednakże wiem, że szwagier uważał go za bardzo uczciwego człowieka, za posiadam dowody na to, że był w Orleanie. Zresztą rzecz sprawdzić łatwo...

Guillaume oświadczył:

— Co też jak najśpieszniej uczynić należy!... Dasz mi pan potrzebne informacye, a ja natychmiast wyprawię pewnego człowieka, który dokona stwierdzenia pilnie i sumiennie...

Komisarz policyi nie znał szczegółów zajścia, które miało miejsce w biurze sędziego śledczego. Nie wiedział, że doktor Jintot został zaaresztowany na zasadzie denuncyacyi Berthaut, dla tego uważał za rzecz prawdopodobną karygodność obu dozorców i doktora, jako trzech spólników i aktorów dramatu. Zresztą, spostrzeżenia swoje zachowywał tylko dla siebie.

Zapytał Varina:

— Czy wraz z panem powróciła tu żona Mikołaja:

— Nie, proszę pana, bawi tam jeszcze ciągle. Nic, nikomu prócz mnie, nie mówiła o wszystkiem, bo tak jak i ja myślała, że lepiej zaczekać na dalszy bieg wypadków. Chcieliśmy przedewszystkiem dowiedzieć się czegoś pewnego o papierach... Nadto, sądziłem, że jeśli Sempuis jest rzeczywiście winowajcą, w jego przestępstwie znajdziemy słuszny powód do rozwodu, należy zatem czekać cierpliwie, aż się cała sprawa wyjaśni...

— Czy możesz pan porozumiewać się z panią Ludwiką?

— Tak, proszę pana, za pośrednictwem mikrusa.

— Dobrze!... A umiesz milczeć w razie potrzeby?

— O, proszę pana, jestem i spokojny i poważnie myślący. Nie lubię paplaniny, a nie upiłem się jeszcze nigdy w życiu!

— Tem lepiej!... Nie piśnij więc ani słówka... ani o tem, że widziałeś się z Ludwiką Sempuis, ani o papierach, które ci doręczyła, ani o naszej tu rozmowie...

— Dobrze, proszę pana... Zrozumiałem!

— Potrzeba jednak, żebyś komisarzowi policyi w Villeneuve powtórzył deklaracyę, którą złożyłeś nam obecnie. Posiada on właściwsze odemnie kwalifikacye do przedstawienia jej sędziemu śledczemu. Zresztą, nie troszcz się o napisanie, bo ja sam zredaguję ją w krótkich słowach, a pan tylko pod piszesz.

Marceli i Julia spojrzeli na siebie znacząco, gdy Guillaume zupełnie swobodnie mówił o „komisarzu policyi w Villeneuve", a Varin, który prawdopodobnie widywał go nieraz, nie domyślał się wcale z kim ma do czynienia, tak przebranie i charakteryzacya zmieniały byłego ajenta prefektury do niepoznania.

Guillaume tymczasem ciągnął dalej:

— Tu znajdujące się papiery wartościowe, tenże sam urzędnik przyjmie w depozyt. Jeśli pan chce, mogę mu je doręczyć.

Varin skinął głową z widocznem zadowoleniem.

— O, tak! jeśli łaska... Będę bardzo panu za to wdzięczny!... Obecnie, gdy wiem, jaki to drogi towar, byłoby mi niewygodnie trzymać je u siebie. Mógłbym zgubić... albo nie upilnować się od złodzieja, przez co popadłbym w ciężki kłopot!

Guillaume czas jakiś zastanawiał się milcząc. Nagle zawołał:

— A, jeszcze jedno! Dobrzeby było, żeby sąd mógł mieć walizkę... Czy możesz pan po nią pojechać i skłonić panią Ludwikę Sempuis do oddania ci jej, bez zwrócenia na to uwagi leśnika i jego żony?

Varin wahał się chwilkę.

— Mógłbym, proszę pana, bardzo łatwo... Tylko przyznaję się szczerze, że droga... Bo widzi pan, ja nie jestem bogaty...

Pani Manescault, nie dała mu skończyć i oświadczyła z pośpiechem:

— Naturalnie, że wszystkie koszta do mnie należą!... Złożę panu nadto pewną kwotę, którą w mo-

jem imieniu oddasz Ludwice, aby mogła kiedy zechce wyswobodzić się z pod tyranii swoich gospodarzy, nie narażając się przytem na objawy zazdrości i gniew męża.

Varin uczuł się przepełniony wdzięcznością.

— Dziękuję pani bardzo!... Pewność, że pani się nią opiekuje, sprawi wielką ulgę w jej strapieniu. O! bo biedactwo strasznie boi się Mikołaja... Pani chyba rozumie, że ja tu na niego czatuję ciągle i samego tam go nie puszczę! Pójdę za nim skrycie, aby w razie potrzeby stanąć w jej obronie... Teraz dziad musi się mieć na baczności, bo ja ją skrzywdzić nie pozwolę!

ROZDZIAŁ VIII.

Tajemnica Mikołaja Sempuis.

Maurycy Berthaut i Mikołaj Sempuis, zawezwani na godzinę drugą, czekali już dość długo w jednej z galeryi Pałacu Sprawiedliwości. Pierwszego z nich zawiadomiono nareszcie, że ma się udać do biura sędziego śledczego, Mikołajowi zaś oświadczył woźny, że jeszcze czas jakiś zaczekać musi, bo i on także po wołany zostanie wkrótce.

Tym razem naprzeciw pana Deverrier, prócz pisarza, siedzieli: jeden z ajentów policyi tajnej i Guillaume.

Po szybkiem załatwieniu formalności wstępnych sędzia rzekł do Maurycego:

— Proszę mi opowiedzieć szczegółowo, jak spędziłeś pan czas od dziesiątego do dwunastego lipca?

Dozorca spojrzał ze zdziwieniem na sędziego.

— Jak spędziłem czas od dziesiątego do dwunastego lipca? To znaczy wówczas, gdy w zakładzie popełniono zbrodnię?

— W rzeczy samej.

— A więc, byłem w Orleanie, w interesie służbowym.

— Proszę mi rzecz określić ściślej!

Berthaut poruszył się żwawo, z oznakami widocznej niecierpliwości.

— Och! jeśli to panu sędziemu sprawia przyjemność! Nie przypuszczam chyba, abym ja teraz w pańskiem mniemaniu miał być mordercą!

— Nie idzie o to! Odpowiadaj pan bez komentarzy. Kiedy wyjechałeś do Orleanu i w jakim celu?

Berthaut zdobył się na rezygnacyę i zaczął recytować jak uczeń lekcyę:

— Dziesiątego lipca wsiadłem do pociągu, odchodzącego o godzinie szóstej, a o ósmej wysiadłem w Orleanie. Przespałem się i o wczesnej porze przedstawiłem się panu Tardieu, który miał mi powierzyć chorego krewnego, którego ja zawieźć miałem do zakładu doktora Manescault w Villeneuve. Tam powiedziano mi, że pragną jeszcze poradzić się lekarza, który po południu przybędzie na konsultacyę i że mam zaczekać, bowiem będę mógł zabrać chorego dopiero dnia następnego. Pozostałem. Nazajutrz zaś oświadczono mi, że rodzina postanowiła zatrzymać chorego w domu. Wówczas wróciłem.

Deverrier przeglądał leżące przed nim papiery.

— Mam tu właśnie list z podpisem Tardieu, wraz ze świadectwami dwóch lekarzy, które to dokumenty zgadzają się z pańską deklaracyą. Czy ją pan potwierdza? Czy zapewniasz, że jest wierną pod każdym względem?

— Naturalnie! — odparł Berthaut z drwiącą miną.

Deverrier oparł się plecami o tylną poręcz fotelu i powiedział żwawo z rodzajem tryumfującego nacisku:

— W takim razie, mój przyjacielu, jakże się stało, że nie tylko nie udałeś się do Orleanu, lecz w całem tem mieście niema nikogo, ktoby się zwał Tardieu i miał chorego umysłowo członka rodziny, ani lekarzy, których nazwiska zgadzałyby się z fantastycznymi podpisami, nabazgranymi na tych świadectwach, które zresztą jak i list, upstrzone są błędami ortograficznymi, źle ukrytymi przez nieczytelne pismo?

Berthaut pobladł nagle.

— Nie jeździłem do Orleanu? — bąknął z cicha.

— Nie, mój dzielny!... List i świadectwa są podrobione... pisane na papierze, kupionym w handlu korzennym w Villeneuve, a skomponowane przez pana samego, albo przez jednego z twoich przyjaciół... Zamiast udać się na dworzec, aby wsiąść do pociągu, idącego do Orleanu... który, mówiąc nawiasem, wychodzi o trzydzieści pięć minut na siódmą, a nie o szóstej... poszedłeś do kawiarni na rynku w Villeneuve, wśliznąłeś się cichaczem do pokoju Celestyny, córki kawiarza, gdzie ukrywając się nieustannie, przebywałeś do dwunastego lipca...

Dozorca odzyskiwał powoli rezon. Gdy sędzia przestał mówić, wybuchnął śmiechem na pół szczerym a na pół przymuszonym i sztucznym.

— Proszę mnie posłuchać!... Ponieważ pan sędzia jest tak dobrze poinformowany, nie przyda się na nic przeczyć dalej... To prawda, nie wyjeżdżałem z Villeneuve... Listy i cały kram, to farsa i blaga... a celem jej zdobycie kilku godzin swobody..., Ach! bo pan sędzia nie wie, jak my jesteśmy za łeb trzymani w naszym zakładzie!... Nigdy nam nie dają urlopu... a zajęcia nasze nie są wcale zabawne... Ani jednej niedzieli wolnej, ani jednej nocy na własny użytek! A ja, proszę pana, mam przyjaciółkę, dziewczynę, którą mam poślubić! Ja od bardzo długiego czasu odkradałem po godzince to z jednego to z drugiego dnia, lecz to mi było za mało. Chciałem raz przecie upoić się rozkoszą... Tylko o tem myślałem dniem i nocą. Zdaje mi się, że gdybym się nie zadowolnił, rozchorowałbym się na dobre... Prosić zaś dyrektora o dwa dni wolne, nie przydałoby się na nic. Powiedziałby niezawodnie: „Przejdźno się chłopcze do kasy". To znaczy: „Niech cię zapłacą i wynoś się z zakładu!..." Wobec tego, człowiek bierze się na sposoby... a sposobów tych rodzi się w mózgu mnóstwo. Ten mi się już raz udał przed czterema laty... Myślałem więc, że i tym razem wystarczy... No! i wystarczył, proszę pana sędziego...



W takim razie słyszałeś, jak wzywano pomocy z Pawilonu Bzów...

Deverrier odpowiedział:

— Ryzykowałeś, gdyż pryncypał mógł posłać innego dozorcę do Orleanu.

Berthaut zaprzeczył poruszeniem głowy.

— Nie!... Nie było nikogo, prócz mnie i Mikołaja, komuby można powierzyć podobną misyę... A Sempuis wiedział o moim planie... to stary i dobry kolega...

Sędzia zapytał z widocznem zajęciem:

— Więc Sempuis wiedział o pańskim fałszywym wyjeździe?

— Tak... a również o przyczynie, która mnie do tego kroku skłoniła.

— W takim razie powiedz mi pan w jaki sposób spędziłeś czas w Villeneuve?

Dozorca zaśmiał się wesoło.

— Ba! może pan sędzia sobie wyobrazić! Nie wyszedłem ani na chwilę z pokoju Celestyny. Spałem, jadłem, a przedewszystkiem piłem...

— Któż wiedział, oprócz tej dziewczyny, co się z panem dzieje?

— Sempuis!

— A prawdopodobnie także i właściciel kawiarni?

Berthaut machnął obu rękami.

— O, nie!... Ojciec Gaud, gdy idzie o jego córkę, nie pozwala na żarty!... Wszedłem i wyszedłem pokryjomu, a gdy na górze się wysypiałem, a Celestyna zejść musiała na dół, to zamykała drzwi na klucz, bo bała się, żeby kto nie wpadł i nie wygadał przed ojcem, że mnie u niej widział.

— Więc tylko córka Gauda świadczyć może o stałym pańskim pobycie w jej pokoju?

Wyraz zaniepokojenia uwydatnił się we wzroku Maurycego. Nalegania Deverriera wydało mu się dwuznacznem i poniekąd groźnem.

Wahał się przez pewien moment, wkońcu rzekł:

— Tak.

Sędzia, trzymający w ręku hebanowy nóż do przecinania papieru, uderzył nim w biurko.

— To nie wystarcza, mój przyjacielu! Odpowiedź pańska pozostawia swobodne pole do wszelkich przypuszczeń!

Berthaut podniósł się nieco z krzesła, na którem siedział, a w ciemnych oczach południowca, zapalił się ogień gniewu.

— Jakich przypuszczeń? — zawołał prawie grubijańskim tonem. — Powiedz mi pan, o co chodzi? Chciej mi wytłómaczyć...

Sędzia odparł sucho:

— Milcz!... To pan masz dostarczyć wyjaśnień, o które pytam!

— Ależ ja nic nie rozumiem...

— Nie potrzebujesz rozumieć!.. Panie Geoffroy, proszę przeczytać protokół!

Po odczytaniu zeznania, Deverrier zapytał:

— Maurycy Berthaut, czy potwierdzasz prawdziwość tego wszystkiego, coś powiedział?

— Ma się rozumieć! Tylko chciałbym dowiedzieć się nareszcie, co to wszystko znaczy?

— Podpisz pan!

Berthaut, pomimo wrodzonej buty i fantazyi, uczuł się mocno zatrwożony stanowczym tonem głosu sędziego, a może jeszcze bardziej upartem milczeniem dwóch nieruchomie siedzących reprezentantów policyi. Więc podpisał, mrucząc pod nosem niewyraźne jakieś półsłówka.

— Przejdź pan do pokoju obok — rzekł Deverrier. — Wkrótce prawdopodobnie potrzebować będę pana jeszcze.

Maurycy zbladł znowu.

— Spodziewam się, proszę pana, że chyba nie jestem aresztowany?

Ajent wypychał go z biura.

— Kiedy panu powiedziano, żebyś wyszedł, to wychodź!... Wszelka dalsza gadanina tu zbyteczna!

Za upadłym na duchu Maurycym zatrzasnęły się drzwi z łoskotem.

Przyszła kolej na Mikołaja Sempuis.

Były żołnierz wszedł do biura krokiem ciężkim i pewnym. Ukłonił się i stał wyprostowany.

— Niech pan usiędzie — rzekł sędzia, przypatrując się z ciekawością ogorzałej twarzy, pooranej zmarszczkami.

Wyczytać na niej można było gwałtowność, przebiegłość i pewien odcień zezwierzęcenia, lecz czyż w rysach tego człowieka da się odkryć niezaprzeczone znamię spełnionej zbrodni?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Oszustwo na wielką skalę.

(Do illustracyi na str. 4).

Galicya ciągle jeszcze nie przestaje być ziemią obiecaną dla wszelkiego rodzaju oszustów i rycerzy przemysłu, handlujących dobrami, wykupujących lasy, dewastujących ubogi kraj nasz w najbardziej rabunkowy sposób. Charakterystycznem jest jednak, że w żadnym innym kraju naszej monarchii, ta spekulacya na skórze szlachty i ziemian nie wyrzuca na powierzchnię życia tyle szumowin, tylu afferzystów, którzy przystępują zazwyczaj do interesu bez pieniędzy i drogą oszukańczą starają się pozbawić mienia swoje nieopatrzne, lub łatwowierne ofiary.

Przyczynkiem do tej historyi oszukańczych najazdów jest wielki proces, który się w tych dniach rozegrał przed sądem przysięgłych w Przemyślu. Na ławie oskarżonych zasiadł handlarz lasów z Iskani koło Dubiecka, S. Intrater, pociągnięty do odpowiedzialności za oszustwo, krydę i wyłudzanie podpisów na wekslach.

Intrater, stary siwy żyd w jarmułce, choć nie posiadał sztuki pisania, z wyjątkiem hebrajszczyzny — przecież prowadził olbrzymie finansowe spekulacye, kupował lasy na wyrąb, był właścicielem amerykańskiego młyna w Iskani i robił interesa na wielką skalę. Ze jednak często brakowało mu na te interesa gotówki, więc posługiwać się zaczął wekslami, które mu podpisywali poważni obywatele, kupcy, bankierzy, a nawet adwokaci. Ta łatwość kredytu pchała go do coraz ryzykowniejszych przedsiębiorstw, a że kredyt się wyczerpywał, więc pan Intrater pod pozorem prolongaty wyłudzał nowe podpisy, eskontował weksle na nowo, a nawet podpisy fałszował. W ten sposób „naciągnął“ cały szereg ludzi na kwotę przenoszącą 140 tysięcy koron. Gdy oszustwo wyszło na jaw, Simche Intrater wraz ze swymi wspólnikami, Berlem Silberem i Leibem Altmanem, umknął do Anglii, pozostawiając na pokrycie swych zobowiązań majątek wartości zaledwie 40 tysięcy koron.

Ale pobyt w Anglii prędko sprzykrzył się Intraterowi. Począł więc czynić starania o uzyskanie listu żelaznego. Złożył 20 tysięcy kor. kaucyi i stanął przed sądem w Przemyślu. Mimo doskonałej obrony ze strony adwokata Liebermana, sąd uznał jednak Intratera winnym i skazał go na dwa lata ciężkiego więzienia.

Pogrzeb b. ministra.

Zmarły w dniu 21 b. m. w Truskawcu b. minister dla Galicyi, b. namiestnik i prezes Koła polskiego, Filip Zaleski, był jedną z tych historycznych postaci, których imiona sympatycznie są zapisane w dziejach odrodzenia Galicyi po upadku systemu rządów germanizacyjnych i centralistycznych. Syn dobrze zasłużonego piśmiennictwu polskiemu Wacława z Oleska, rozmiłowanego zbieracza pieśni ludowych, a zarazem urzędnika niepospolicie zasłużonego, któremu powierzone były rządy Galicyi jako pierwszemu konstytucyjnemu namiestnikowi, odziedziczył po swym ojcu obok umiejętności rządzenia, także wielkie przywiązanie do kraju, takt polityczny i zdolność lawirowania pomiędzy obowiązkami Polaka a urzędnika. Wykształcony w politycznej szkole hr. Agenora Gołuchowskiego, zręczność polityczną umiał doprowadzić do doskonałości. To też po szczeblach karyery urzędniczej szedł szybko i zwycięsko aż w pełni zaufania korony zasiadł na fotelu namiestnika, a następnie ministra dla Galicyi. Gdy ustąpił w r. 1888 kraj dał mu dowód zaufania wybierając go posłem, a reprezentacya polska w Wiedniu powierzyła mu przewodnictwo Koła polskiego. Na wszystkich tych stanowiskach ś. p. Zaleski umiał się okazać dobrym Polakiem i pożytecznym obywatelem kraju, cieszącym się zarówno zaufaniem sfer oficyalnych wiedeńskich jak i współobywateli.

Te tradycye i zasady wszczepił ś. p. Filip Zaleski w swego syna Wacława, który wzorem ojca i dziada przechodząc te same szczeble karyery oparł się również o fotel ministeryalny.

Pogrzeb ś. p. Zaleskiego odbył się w dniu 24 b. m. we Lwowie, dokąd zwłoki sprowadzono z Truskawca. Zwłoki przeniesiono z kaplicy Boimów do Katedry, skąd po nabożeństwie, odprawionem przez arcybiskupa Bilczewskiego, złożono je na cmentarzu Łyczakowskim. Nad trumną zmarłego wygłosił piękne przemówienie marszałek kraju hr. Stanisław Badeni.

Korpus wakacyjny w Bochni.

Społeczeństwo nasze przejmuje się coraz bardziej hasłem „w zdrowem ciele zdrowy duch“. Dowodem tego najlepszym, coraz liczniejsze gniazda sokole, które spotkać już można i w miasteczkach o dwutysięcznej ledwie ludności, wiejskie „drużyny bartoszowe“, a także t. zw. korpusy wakacyjne. Te ostatnie ćwiczyć mają fizycznie dziatwę szkolną, która w ciągu roku szkolnego zbyt mało czasu poświęca gimnastyce, co przy znacznej liczbie godzin szkolnych, wymagających umysłowego natężenia dziecka, nie może wpływać dodatnio na ogólny jego rozwój.



Po awanturach głodowych w Wiedniu: Piechota bośniacka, usuwająca publiczność z placu przed ratuszem.

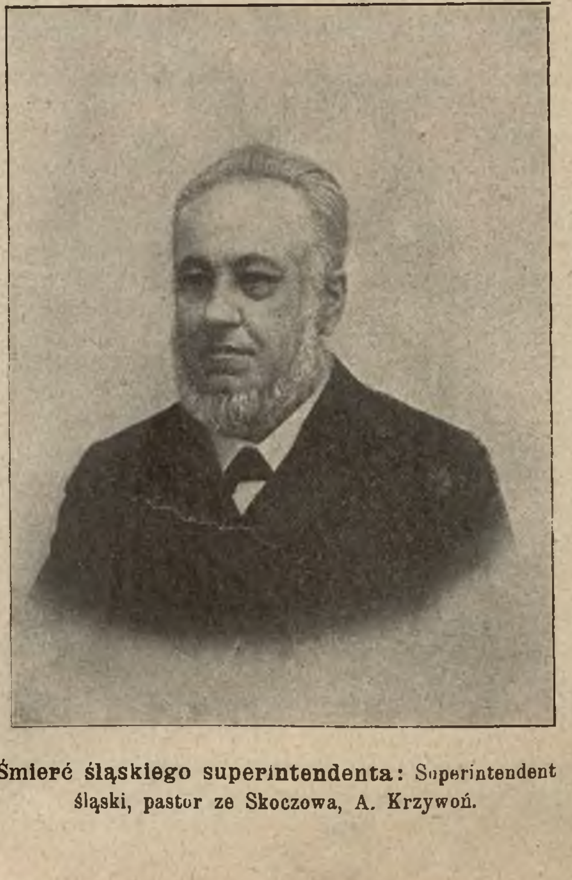
Jednym z najstarszych korpusów wakacyjnych w naszym kraju jest korpus bocheński. Kierowany sprężystą ręką dyr. Kozłowskiego, skupia on w sobie rokrocznie nowe zastępy najmłodszego pokolenia, tak, że dawni jego uczestnicy są dzisiaj już na stanowiskach i niejeden z nich, jako nauczyciel wiejski, ma sposobność organizowania dziatwy szkolnej w korpusy wycieczkowe i wakacyjne, pamiętając na przyjemność, jakiej sam, będąc jeszcze chłopięciem, w korpusie wakacyjnym doznał.

Bocheński korpus cieszy się zresztą zasłużoną sławą w całej Galicyi, kierownik zaś jego znanym jest jako przyjaciel młodzieży i niestrudzony pracownik na niwie pedagogicznej.

Umieszczona w bieżącym numerze naszego pisma illustracya przedstawia uczestników korpusu bocheńskiego wraz z zasłużonym kierownikiem, dyr. Kozłowskim.



Pogrzeb byłego ministra: Karawan ze zwłokami ś. p. ministra Zaleskiego i postępująca za nim rodzina. (Fot. J. Jaworski, Lwów).



Śmierć śląskiego superintendenta: Superintendent śląski, pastor ze Skoczowa, A. Krzywoń.

Kronika tygodniowa.

Nie gniewaj się luby Czytelniku i ty, nadobna Czytelniczko, że w poprzednim numerze *Nowości illustrowanych* nie było kroniki tygodniowej, gdyż winy nie ponosi ani zawsze chętny do usług kronikarz, ani też Redakcya, lecz jedynie fatalny zbieg okoliczności, co zresztą każdy, przeczytawszy kronikę do końca, z pewnością przyzna i będzie nas uważał za wytłumaczonych.

Otóż przedewszystkiem stanęła na przeszkodzie wprowadzona od 1 lipca nowa zreformowana opłata akcyzowa od rozmaitych artykułów spożywczych, znosząca podatek od przywożonego do Krakowa masła, sera i t. d. podwyższająca zaś taryfę w niektórych pozycyach n. p. przy opłacie od gęsi. Przyznać się muszę, że jako człowiek starej daty używam do dnia dzisiejszego gęsich piór, które sam sobie temperuję, bo do stalowych dziennikarskich oręży, (z wyjątkiem naturalnie tradycyjnych nożyczek), jakoś dotąd nie nabrałem zaufania. Z tego powodu, co kilka tygodni wybieram się na targ i tu zakupuję niewinne obronicielki Kapitolu, które potem wraz z władzą domową dzielę się po bratersku. Ja zabieram pióra, reszta idzie do kuchni.

Tymczasem w ubiegłym tygodniu, dzięki właśnie owej nowej, podwyższonej opłacie akcyzowej i ogólnej zresztą drożyźnie i goliźnie, ceny gęsi tak nagle podskoczyły w górę, że na zakupno bodaj jednego, jedynego i to do tego tak chudego, jak przemysł galicyjski egzemplarza, mógł sobie pozwolić chyba jakiś Rotszyld lub inny milioner.

No! gdyby to tylko gęsi podrożały, podrożał nawet i atrament, wobec tego każdy łatwo zrozumie, że w tych warunkach ani myśli, by się módz zabrać do tak ważnego referatu, jakim jest kronika tygodniowa, mająca być najpierw odbiciem tego, co się przez siedm dni stało w rozszerzonym Krakowie, skurczonej naszej Ojczyźnie i wogóle w całym c. k. świecie.

Wytłumaczyłem, sądzę, zupełnie jasno, iż nie było czem pisać, gorzej jeszcze, że nie było i o czem! Mam zwyczaj (sądzę, że się ta wiadomość przyda i mojemu przyszłemu biografowi) codziennie popołudniu, gdy mi żeńska i nijaka część domowego inwentarza da się już swem trajkotaniem porządnie we znaki, udawać się do kawiarni na „czarną“ lub „kapucyna“. Tutaj pogadam sobie z tym, lub owym, dowiem się czegoś, a ponadto wyczytam wszelkie najświeższe wiadomości, które potem mogę zużytkować w kronice tygodniowej. W tym celu, układając co miesiąca budżet wydatków domowych, przeznaczam z góry na ten cel pewną kwotę, która nie może być z reguły przekroczoną, aby nie zepsuć budżetowej równowagi.

Tymczasem znów stanęli mi na przeszkodzie panowie kawiarze, którzy zwołali walne zgromadzenie i uchwalili jednogłośnie, że nie mogą absolutnie pozostać w tyle i z powodu podrożenia cykoryi... *pardon* kawy i cukru, podnoszą też ceny w swych lokalach. Ponieważ stało się to w środku miesiąca, musiałem na razie dać sobie spokój z odwiedzinami kawiarni, chodzę tam tylko co niedzielę i *eo ipso* nie mogę w tym jednym dniu rozglądnąć się tak dokładnie po politycznym horyzoncie, jak to miało miejsce wówczas, gdy bieg wypadków śledziłem codziennie. Po pierwszym, jeśli uda mi się wykołatać u najwyższej władzy domowej jakowyś dodatek drożyźniany, powrócę do zwykłego trybu życia, czyli innemi mówiąc słowy, poprawię się z gruntu. To tylko bieda, że o ten dodatek starania będą dość przykre i ciężkie, choćbym bowiem zagroził nawet biernym oporem na wypadek nie uwzględnienia mych postulatów, spotkam się co najwyżej z pogardliwym uśmiechem mojej tak zwanej lepszej połowy.

Zdaje mi się, że wytłumaczyłem się należycie i każdy przyzna, iż wina leży nie po mojej stronie, ale trzeba ją przypisać ogólnej drożyźnie, w pierwszym rzędzie gęsi i atramentu, w drugim kawy i cukru.

Ponieważ zawadziłem wyżej o bierny opór, który zwłaszcza na kolei i poczcie jest bardzo skuteczną bronią przy walczeniu o poprawę bytu, w domu natomiast nie na wiele się przydaje, boć człek przecież i bez niego, robi tylko tyle, ile musi, warto wspomnieć, że właśnie stoimy wobec takiego i strejku i biernego oporu, którym grożą przedewszystkiem kolejarze, a z nimi solidaryzuje się i poczta. Starając się o polepszenie bytu w tak ciężkich, jak obecne warunkach materyalnych, spotkali się z zapewnieniem kierownika ministerstwa kolejowego, iż decydujące sfery nie mają nic przeciw podwyższeniu płac i przyznaniu dodatku drożyźnianego, chodzi jednak o to, aby wynaleźć na ten cel nowe źródła dochodu, czyli innemi znów mówiąc słowy, nowe podatki, które mogłyby zasilić kasy państwowe. Ponieważ zaś wiadomą jest powszechnie rzeczą, że każdy nowy podatek pociąga za sobą i zwiększenie się drożyzny, można się spodziewać, że równocześnie podskoczą znowu ceny wszelkich artykułów zwłaszcza spożywczych, wyśrubowane już i tak do niemożliwości, a cała akcya przeciwdrożyźniana ogranicza się na obietnicach, że jak się da, to się zrobi, a z reguły się to wszystko nie udaje.

Na początek października obiecują nam wobec tego strejk ogólny, a po nim bierny opór, który kto wie, czy nie jest jeszcze gorszym od strejku, gdy tamten bowiem trwa krótko, opór może się przeciągać i tygodniami, wyrządzając ludności, handlowi i przemysłowi straty wprost nieobliczalne i przyczyniając się znowu do zwiększenia drożyzny.

Zyjemy więc ciągle w błędnem kole, z którego ani rusz się wydobyć, w którą zwrócisz się stronę, wszystko kończy się jedną i tą samą śpiewką, jest źle, będzie jeszcze gorzej! Pan minister skarbu, widząc chroniczne braki w skarbcu (do których zresztą mógł się już przyzwyczaić), powinien rozglądnąć się za jakimiś środkami zaradczymi, któreby wreszcie dopomogły w owej suchotniczej wegetacyi. Sądziłbym, że mógłby skorzystać z dobrego przykładu naszych towarzystw dobroczynnych i humanitarnych i urządzić pewnego dnia w całej Austryi publiczną kwestę, która niezawodnie przyniosłaby odpowiedni dochód. Mamy obecnie jesień, możnaby tę uroczystość, nazwać n. p. dniem „rydza“, broń jednak Boże „figi“, boć *nomen* to *omen!*

A pieniędzy skarbcu państwowym potrzeba tem bardziej, że ma się do czynienia nie tylko z urzędnikami, dopominającymi się o poprawę bytu, ale też i z wojskiem, które jest obecnie tym molochem, pożerającym wszystko z bajecznym apetytem, a nie narzekającym nigdy na niestrawność. Urzędnikom trochę się obieca, trochę wytarguje, resztę zaś da i są zadowoleni, pan minister wojny jeśli postawi żądanie, to odeń nie odstąpi ani na jotę, gdyż jak zwykle powiada, wymaga tego powaga monarchii i jej mocarstwowe stanowisko.

A właśnie w ubiegłym tygodniu ustąpił minister wojny Schönaich, który liczył się jeszcze z ogólną nędzą i nie bardzo następował na pięty ministrowi skarbu, następcę jego poprzedziła już wieść, że będzie się domagać jednorazowo tylko trzysta milionów na cele wojskowe, a potem w każdym roku o sto milionów więcej, niż obecnie. Jeśli parlament poweźmie odpowiednią uchwałę i da swoje placet, nie chciałbym być ani we fraku, ani w skórze ministra finansów, bo łatwo obiecać, ale skąd wziąć, gdy wszystkie źródła już wyschły, niczem ubiegłego roku wodociągowe na Bielanach! I nie dziwiłbym się, gdybyśmy pewnego pięknego poranku wyczytali w gazecie, że „Jego Ekscellencya pan minister X. w przystępie czarnej melancholii targnął się na swe życie i powiesił na żółtym sznurku“.

Jeśli takie kłopoty mają złotokołnierzowcy, cóż dopiero mówić o nas, zwykłych śmiertelnikach, których stać zaledwie na jakiś marny kołnierzyk płócienny! Zyjemy w ciągłej obawie głodowej śmierci, która grozi nam lada dzień, wszystko tak podrożało, że jeden zniemiak kosztuje około trzy halerze, a mięso oglądają szczęśliwcy raz na tydzień! W sklepach masarskich pustki, przed oknami zaś wystawowymi ścisk niebywały, każdy chce się nasycić bodaj widokiem apetycznych kiełbas, szynek i kiszek, bo na zakupno go nie stać, zwłaszcza, że nawet Bank austro-węgierski podniósł stopę procentową, czem przyczynił się bardzo wydatnie do pogorszenia sytuacyi.

Bo proszę sobie wyobrazić, czy to doprawdy nie przypomina sceny z jakiejś operetki, że galicyjskie woły (proszę, aby panowie posłowie nie myśleli, że ich mam na myśli!...) takie zwyczajne, czworonożne, jadą sobie spokojnie do Wiednia, po to jedynie, aby tam zakupili je galicyjscy rzeźnicy i przywieźli z powrotem nad Wisłę i Pełtew, naturalnie po cenach o 50 proc. wyższych. Potem dopiero urządza się na targowicy licytacyę, który ze szczęśliwców ma takiego Apisa odprowadzić do rzeźni. I jak się tu potem dziwić, że wobec takiej gospodarki ceny z dnia na dzień rosną, a widmo głodowej śmierci zbliża się coraz bardziej.

Mieliśmy tego roku piękne urodzaje, zboże jednak jest droższe, niż po inne lata, brakło paszy a rolnik za bezcen wysprzedaje bydło, mięso jednak drożeje z każdym dniem, a befsztyk lub rozbratel stanowią coś, o czem tylko można marzyć, rzadko to jednak osiągnąć. Na tłumy Krakowian działają wobec tego drażniąco *menu* miejscowych restauracyi, ogłaszane publicznie w pismach, że dziś jest zupa rakowa, nereczki na maderze, pularda w potrawce, rolad biszkoptowy i t. d., co powinno być stanowczo zakazanem z urzędu, może się bowiem przyczynić do wywołania groźnych rozruchów głodowych wśród tych, których nie stać na podobne smakołyki, a takich jest w rozszerzonym Krakowie około 149 tysięcy. Mają oni rozszerzony Kraków, ale zato skurczony żołądek!

Gdyby to choć piwo było jeśli już nie potaniało, to przynajmniej pozostało w dawnej cenie, miałby człek przynajmniej w czem utopić robaka, który go gryzie! Tymczasem panowie piwowarzy zawiązali kartel i podnieśli ceny na hektolitrze piwa beczkowego o 2 korony 60 halerzy, flaszkowego zaś aż o cztery korony i obiecują jeszcze, że na tem nie koniec. Za nimi idą wódczarze, miodziarze i winiarze i samochcąc wpędzają nas w ramiona Eleuteryi!

Dla kompletu trzebaby jeszcze cholery lub dżumy miałby przynajmniej człowiek tę pewność, że przeszedłszy za życia czyściec najrozmaitszych cierpień, bodaj po skończeniu doczesnej pielgrzymki cieszyć się będzie wiekuistą szczęśliwością, gdzie serca jego nie będzie razić swym widokiem ani rzeźnik, ani piekarz, ani szynkarz, ani inny upasiony krwawicą naszą „przemysłowiec“, gdzie niema ani urzędów podatkowych, ani egzekutorów, gdzie jest ciepło i bez palenia w piecu, a chodzić można ubranym jeno w listek figowy, który jak wiadomo kosztuje mniej niż najpodlejszego rodzaju marynarka lub żakiet.

To jedno bieda, że w niebie brak kabaretów, a to źle świadczy o intelligencyi tamtejszych mieszkańców, jak to zresztą bardzo słusznie zaznaczył pan Kl. w „Słowie Polskiem“, narzekając na Krakowian, że nie spieszyli tak do jego „Ula“ jak on tego pragnął.

Poprawimy się i my, byle tylko stosunki się poprawiły, trudno przecież gonić po kabaretach, gdy w kieszeni pustki!

Miejsce zamachu.

(Do illustracyi na str. 10).

Widownia wielkiego zamachu na jednego z największych rosyjskich mężów stanu, teatr miejski w Kijowie, zostanie na zawsze związany z nazwiskiem Stołypina. Ten, który stał na czele ministrów, uśmierzyciel rewolucyi, niedoszły kanclerz państwa, legł od kuli tego rewolucyonisty, który jako członek ochrany miał obowiązek czuwać nad bezpieczeństwem osoby pierwszego ministra. Odtąd teatr kijowski będzie niewątpliwie miejscem, które skwapliwie zwiedzane będzie przez wszystkich cudzoziemców zatrzymujących się w Kijowie, których wzrok szukać będzie owego pamiętnego fotelu, o który oparł się minister Stołypin na chwilę przed popełnionym zamachem.

Rada miejska w Kijowie zamierza fotel ów zlany krwią ministra umieścić na wieczną pamiątkę w muzeum historycznem miasta Kijowa.

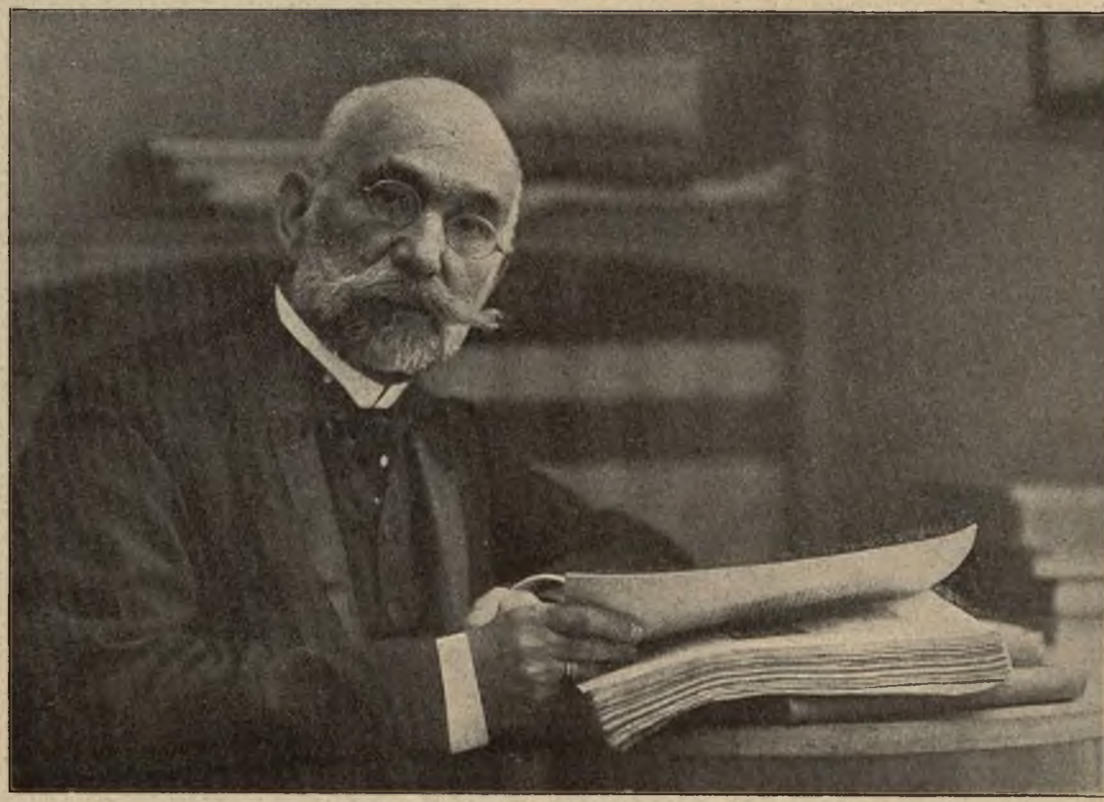
Teatr kijowski, jako przybytek. który był świadkiem wstrząsającego w historyi Rosyi politycznego wypadku, będzie odtąd miejscem historycznem, które pokoleniom przypominać będzie wstrząsający fakt w życiu porewolucyjnem Rosyi.

Śmierć śląskiego superintendenta.

Na Śląsku austryackim ludność polska wyznania ewangielickiego narażoną dotąd była na ciągłe niebezpieczeństwo wynarodowienia i to głównie ze strony swych duchownych przewodników, pastorów, którzy z bardzo małymi wyjątkami, przejęci byli do szpiku kości prusofilstwem, lub conajmniej nienawidzili Słowian, a zwłaszcza Polaków z całej duszy. To najciekawsze, że najzażartszymi hakatystami byli właśnie miejscowi Polacy, których szkoła, a później seminaryum pastorskie potrafiło zamienić na zaciekłych Niemców-szowinistów. Obok nich nie brakło i dzielnych, patryotycznie usposobionych ewangielickich duchownych, którzy nie identyfikowali religii z polityką. W ich ślady wchodzi powoli i młode pokolenie, więcej już narodowo uświadomione i odporniejsze na zakusy germanizacyjne.

Jednym z pastorów, pochodzącym z rodziny polskiej, nie umiejącej nawet po niemiecku, uważającym się jednak za zaciekłego Niemca, był zmarły w ubiegłym tygodniu w Skoczowie, superintendent zborów śląskich A. Krzywoń. Był on zaledwie dwa lata superintendentem, po Haasem, osławionym ze swej antipolskiej działalności i założycielem partyi klerykalno-ewangelickiej, stojącej na usługach niemieckich.

Aczkolwiek pastor Krzywoń nie odegrał tak smutnej roli jak jego poprzednik, w każdym razie schodzi z nim do grobu jeden z niewielu już propagatorów polityki germanizacyjnej wśród duchowieństwa ewangielickiego na Śląsku.



Zgon zasłużonego urzędnika: Ś. p. Franciszek Jaugustyn, były naczelnik Tow. Wzaj. Ubezpieczeń w Krakowie.

Artysta-emeryt.

Z szeregów czynnej armii pracowników sceny polskiej ustąpił z dniem 1 lipca b. r. artysta, którego imię zaszczytnie zapisane jest na kartach historyi teatru, pomimo że pracę całego życia poświęcił niemal wyłącznie jednej tylko scenie krakowskiej.

Po 35 latach żmudnej pracy, opuścił ukochaną scenę krakowską Sobiesław Bystrzyński. Jeden z najzasłużeńszych polskich artystów, który na swych barkach dźwigał z wyjątkowem powodzeniem repertoar kochanków salonowych, lżejszych bohaterów i rezonerów, pozostawia po sobie lukę niezapełnioną. Nie brzemię wieku, bo Sobiesław do ostatnich czasów zachował młodzieńczą siłę talentu i rzeźkość sił fizycznych, ale choroba zniewoliła utalentowanego artystę do usunięcia się w zacisze życia domowego, i korzystania z emerytury, jaką mu wdzięczne za wieloletnią jego pracę miasto Kraków skwapliwie ofiarowało.

Kiedy przed laty dziesięciu teatr krakowski wieczorem jubileuszowym uczcił 25-lecie pracy scenicznej Sobiesława, okazało się dowodnie, jak ważnem kółkiem był on w krakowskiej machinie teatralnej. Nie zbrakło wówczas znakomitemu artyście objawów zasłużonego uznania i podzięki a zarazem zachęty, aby długie jeszcze lata pozostawał na posterunku, jako jeden z najmocniejszych tej sceny filarów. Los zrządził jednak inaczej, krakowski teatr musi się obejść na przyszłość bez Sobiesława, a z myślą tą doprawdy trudno przyjdzie się pogodzić krakowskiej publiczności.

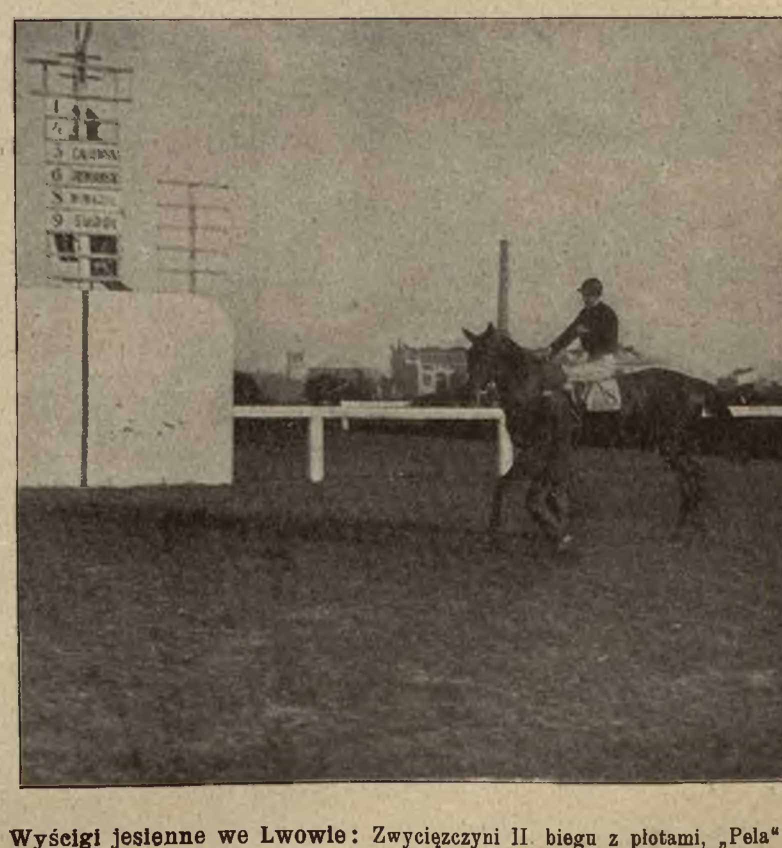
Któż bowiem zagra, tak jak on, Gucia w „Slubach panieńskich“, Genia w „Panu Damazym“, rotmistrza w „Miodzie kasztelańskim“, Birbanckiego w „Dożywociu“. Z Sobiesławem ustępuje z widowni ostatni już prawie spadkobierca i kontynuator szkoły Koźmianowskiej w teatrze, której wyobrazicielem był tak świetnym w komedyach francuskich doby wczorajszej. Dość przypomnieć tu rolę Armanda w „Damie Kameliowej“, Ipanowa w „Daniszewach“, Bellusa w „Swiecie nudów“, Maksa w „Myszce“, Olliviera w „Półświatku“, aby przyjść do przekonania, że to jeden z tych, co zamykają najświetniejszą epokę aktorstwa polskiego.

Ale poza wszystkiem talent Sobiesława nie należał do tych, co się zasklepiają w tradycyi i rutynie. Kiedy w teatrze powiały inne prądy, gdy literatura teatralna zmieniła swój kierunek, kiedy wpływ Skandynawów i ich epigonów wycisnął swe piętno na całej umysłowości, Sobiesław skupia intenzywnie pracę ducha i myśli i daje świetne kreacye Bracka w „Heddzie Gabler“ Ibsena, Brauna w „Samotnych“ Hauptmanna, Velutiego w „Idealnej żonie“ i cały szereg innych. A kiedy błyśnie refleksem echo dawnej romantyki, stwarza niezapomnianą rolę Silvia w „Odrodzeniu“ Schöntana.

Sobiesław był naprawdę filarem sceny krako-



Artysta-emeryt: Włodzimierz Sobiesław-Bystrzyński.



Wyścigi jesienne we Lwowle: Zwycięzczyni II. biegu z płotami, „Pela“ hr. O. Potockiego, pod dżokejem Wiważilem.

(Fot. M. Münz, Lwów).

wskiej, który na tytuł ulubieńca publiczności rzetelnie sobie zasłużył. Samo pobieżne wyliczenie najważniejszych jego ról, daje wymowne świadectwo o rozległości skali jego talentu i o tem, czem był dla teatru krakowskiego.

Na zakończenie zanotować wypada kilka dat z życia jubilata-artysty. Sobiesław Bystrzyński urodził się w r. 1854 we wsi Nowy Dwór w gubernii kaliskiej. Gimnazyum kończył w Warszawie i bezpośrednio z ławy szkolnej wstąpił do trupy Anastazego Trapszy. W r. 1875 przybył do Krakowa, zaangażowany przez St. Koźmiana, i odtąd już stale, z przerwą tylko jednego roku, spędzonego w teatrach warszawskich, pracował na scenie krakowskiej. W r. 1901, za dyrekcyi Kotarbińskiego, teatr krakowski uczcił swego zasłużonego pracownika, podniosłym obchodem jubileuszowym. *P.*



Korpus wakacyjny w Bochni: Grupa uczestników z zasłużonym dyrektorem Kozłowskim w pośrodku.

Zgon zasłużonego urzędnika.

Z widowni krakowskiego świata urzędniczego ubyła w tych dniach postać niezmiernie sympatyczna i popularna. Zmarły w dniu 23 b. m. ś. p. Franciszek Jaugustyn, naczelnik biur w dziale życiowym Tow. Wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, był jedną z tych typowych postaci zasłużonych urzędników, których imię związane jest trwale z tą instytucyą. Związany z Towarzystwem 44 letnią wierną i pożyteczną służbą, był jednym z filarów instytucyi, której poświęcił cały trud życia i której przyniósł w dani rozkwit i rozwój na trwałych u fundowany podstawach. Marzył kiedyś w zaraniu młodości ś. p. Jaugustyn o katedrze matematyki w uniwersytecie i w tym celu dopełnił swe studya matematyczne na kilku zagranicznych uniwersytetach. Gdy jednak katedrę astronomii objął ś. p. prof. Karliński, nie widział zmarły już na tem polu widoków i z docenta astronomii na Uniwersytecie Jagiellońskim przedzierzgnął się na urzędnika asekuracyjnego. I okazało się, że trafił na właściwe pole dla swego talentu. Wstąpiwszy w dobie organizowania działu życiowego w Towarzystwie, on dzięki swym fachowym studyum dał podstawy organizacyi w nowej i dotąd u nas nieznanej pracy społeczno finansowej i doprowadził dział ten do dzisiejszego stanu rozkwitu.

Jako urzędnik i jako przełożony otoczony wyjątkowym szacunkiem i sympatyą dla zalet serca i charakteru, był on duszą wszystkich korporacyjnych instytucyi urzędniczych w łonie Tow. Wzajemnych ubezpieczeń, a w „Kółku śpiewackiem“ urzędników T. W. U. piastował godność prezesa.

Zgon ś. p. Fr. Jaugustyna wywołał szczery żal wśród szerokich sfer towarzyskich Krakowa.



Losy wdowy po Napoleonie III: Ex-cesarzowa Eugenia, występująca obecnie pod nazwiskiem hr. Pierrefonds.

Wyścigi konne we Lwowie.

Lwów wstąpił w ubiegłą niedzielę w znak jesiennego sezonu wyścigowego, który po inne lata zazwyczaj bywał niezwykle ożywiony. W tym roku pierwszy dzień meetingu jesiennego przyniósł znacznie mniejsze ożywienie i mniejszy udział publiczności i świata sportowego, pomimo pogody i dnia świątecznego. Widocznie widmo drożyzny, wojny i wszelakich utrapień, jakie najbliższa przyszłość zapowiada, odstraszyło wielu miłośników sportu wyścigowego.

Nie tylko trybuny były mniej szczelnie niż zwykle odbsadzone, także na miejscach plakowych było bardzo przestrono, pustkami świeciły też najtańsze miejsca, na których zazwyczaj najbardziej rojno i wesoło.

Sam przebieg wyścigów był o tyle interesujący, że przyniósł przeważnie zwycięstwo stajniom i hodowcom krajowym. W biegu drugim, czwartym i piątym zwyciężyły konie Oskara hr. Potockiego, Zdzisława hr. Tarnowskiego i p. B. Dydyńskiego, obok nich zaś tryumfatorem był rotmistrz Hagelin, który zwyciężył w biegu pierwszym i trzecim.

Ogółem było w pierwszym dniu pięć biegów, które następowały po sobie składnie i szybko, porządek panował wszędzie wzorowy. Niestety totalizator, ta nadzieja wszystkich w tych ciężkich czasach nie dopisał także, najwyżej bowiem płacono po 19 Kor. za pięć.

Następny dzień wyścigów w piątek.

W pierwszym dniu wyścigów stanęło do biegu wiele nieznanych koni oficerskich, co spowodowało pewną dezoryentacyę w kołach sportowych.

Los wdowy po Napoleonie III.

Ex cesarzowa Eugenia, w połowie ubiegłego stulecia pierwsza z kobiet w Europie i królowa mody, wiedzie dziś w swej zgrzybiałej starości cichy, spokojny żywot najzwyczajniejszej kobiety średniego stanu. Widząc ją, przechadzającą się samotnie, czy to na promenadzie w Biarritz, dokąd udaje się co rocznie, czy też na zamku Farnborough, gdzie spędza kilka miesięcy, aniby nikt nie przypuszczał, że przed laty czterdziestu owa kobieta wywierała ogromny wpływ na losy całego świata i była właściwą przyczyną wojny francusko-niemieckiej w r. 1870—71,



Wyścigi jesienne we Lwowie: Amatorzy totalizatora na placu wyścigowym.

która skończyła się nieszczęśliwie dla Francyi i zmusiła cesarza Napoleona III go do złożenia korony.

Los obszedł się rzeczywiście z hrabiną Pierrefonds, gdyż takie nazwisko nosi obecnie ex-cesarzowa Francuzów, prawdziwie po macoszemu. Zbieg fatalnych okoliczności zmusił ją do usunięcia się w zacisze domowe, na domiar nieszczęścia padł od kuli nieprzyjacielskiej najukochańszy jej syn, książę Lulu, który podążył do Afryki, aby w szeregach angielskich zakosztować przyjemności życia obozowego.

Hrabina Pierefonds, pomimo bardzo podeszłego wieku (urodziła się 5 maja 1826 w Andaluzyi) cieszy się doskonałem zdrowiem i humorem i nie poznać zupełnie po dzisiejszej zgrzybiałej staruszce, że nie tak jeszcze dawno była osobą pierwszorzędnego znaczenia, której wpływy sięgały daleko poza granice Francyi.

Z pochodzenia Hiszpanka, córka hr. Montjo i jego małżonki Maryi Manueli Kirkpatrik, w młodości swej zwiedziła różne kraje i otrzymała bardzo staranne wychowanie.

Gdy po śmierci syna upadły wszelkie nadzieje na odzyskanie tronu francuskiego, usunęła się zupełnie od życia publicznego, a w ostatnich czasach zapadła ciężko na zdrowiu i straciła wiele ze znanej swej energii.

Podobno pisze pamiętniki, które mają się okazać po jej śmierci.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 37.

Łamigłówka: Co głowa, to rozum.

Logogryf:

B z y
G a z
M u l t a n y
M a r a t o n
C h i r u r g
A g a
Ł o ś
S k i
K r a
A r t e m i s
A r y s t y d e s
S z c z ę ś c i e

Szarada: Poseł.

Szarada: Bard, drab.

Łamigłówka:

Brody
Organ
Luter
Egipt
Sucha
Łosoś
Ateny
Wilno
Pitya
Ruryk
Upita
Sulla

Szarada: Brak, karb.

Łamigłówka: Zgon kardynała Puzyny.

Arytmogryf:

M a s ł o
A r t u r
S a n i e
Z a w ó d
B r o m u
A r m a t
B a n d y

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków, J. Buk Stanisławów, H. Luft Wiedeń, O Górkowa Chyrów, J. Łopatkiewicz Jasło, M. Wojkowski Skałat, J. Strojek Podgórze, I. Brzostowski Kraków, H. Maciejowska Winnica, S. Bukowski Równo, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, H. Goliński Stanisławów, F. Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, A. Pankowski Kraków, K. Radoszewski Bochnia, J. Świrski Sandomierz, M. Kwaśniewski Przemyśl, W. Bandrowski Jasło, Z. Ostrowski Częstochowa, M. Więckowska Warszawa, F. Dreziński Jasło, F. Maresz Tarnów, R. Zelechowski Brzeżany, K. Mróz Sokołów, J. Ciszewski Radom, R. Knapik Kraków, J. Kopczyńska Bierzanów, D Sedyńska Nowa Wieś, J. Jakubowska Sambor, H. Wilczkiewicz Lwów, T. Wiewiórowski Podwołoczyska, W. Ogiński Petersburg, R. Zapałowicz Jasło, J. Nowacki Krosno, K. Gliński Kołomyja, A. Balicki Stanisławów, J. Ohrenstein Lwów, T. Lindenbaum Czerniowce, K. Lewicki Warszawa, H. Obraczay Cieszyn, J. Jaboda Cieszyn, W. Pick Warszawa, M. Thun Płock, F. Blätterfeind Sanok, M. Klappholz Rzeszów, M. Scholz Rozwadów, J. Linderski Przemyśl, F. Tarnowski Piotrkow, Z. Thun Lwów, J. Serwański Krosno, M. Samlicka Rzeszów, A. Siatka Lwów, H. Zegartowska Bogucice, S. Krzemieniecki Warszawa, J. Lisowski Brzeżany, M. Karwowska Poznań, J. Obst Łódź, J. Hillenbrand Kraków, M. Tokarska Mińsk, M. Jarosiewicz Sanok, W. Kula Kraków, J. Stopka Żywiec, J. Gorecki Sanok, H. Radomska Petersburg, S. Ropski Warszawa, Z. Długołęcki Jabłonów, J. Przeworski Toruń, S. Türk Kołomyja, W. Singer Tarnopol, H. Grabowski Jasło, W. Radwański Zakopane, J. Michalski Sanok, M. Trojacka Wiedeń, L. Sapecki Szczawnica, J. Lipski Kraków, H. Bernstein Warszawa, H. Łopatyński Lwów, K. Broda Drohobycz, J Frankowicz Szczucin, F Schmidt Wiedeń, A. Serwatowska Warszawa, J. Zielińska Rzeszów, J. Urban Lwów, B. Michalec Zakopane, T. Nikiel Nowy Sącz, J. Horak Sandomierz, M. Czernecki Złoczów, J. Karaś Zakopane, M. Kruszelnicka Tarnów, H. Górska Zamość, Z Radziński Rzeszów, K. Zięba Sanok, J. Czarkowski Stryj, J. Trepka Sandomierz, T. Mazaraki Radom, M Popiel Rzeszów, J. Armatys Lwów, A. Dużak Kraków, A. Augustynowicz Kraków, W. Kaliszewski Petersburg, M. Ciesielski Poznań, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Jeziorski Krynica, M. Antosz Kołomyja, J. Włodek Zakopane, J. Zachara Mielec, H. Leszczyński Stanisławów, H. Krogulska Warszawa, M. Armatowicz Petersburg, Z. Kisielewski Rzeszów, M. Ołeksiukowa Holeszów, K. Frankowski Kalisz, M. Serbeńska Budzanów, K. Fuchs Czeremchów, M. Arbesbauer Lwów, K. Szumańska Rawa Ruska.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Kruszelnicka, Tarnów.** Upraszamy o nadesłanie 35. hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Z Cyrku Edison: Od piątku 29 b. m. zupełnie nowy sensacyjny program zalecający się niezwykłym doborem najlepszych i najświeższych zdjęć. „Jak wędruje list z Afryki środkowej do nas?“, oto pytanie, na które odpowiedź daje prześlicznie kolorowane pouczające zdjęcie z natury. „Kielich trucizny“, dramat małżeński odegrany przez najlepszych artystów i ulubiony „Żurnal Pathego“ dopełniają tegotygodniowego programu.

C. k. Dyrekcya kolei państwowych donosi:

„Rozkład jazdy, wydany dnia 1 maja b. r. pozostaje po wyłączeniu t. zw. pociągów sezonowych, jako takie w rozkładzie jazdy oznaczonych — ważnym i na okres zimowy t. j. od dnia 1 października b. r. do końca kwietnia 1912.

Wyjątek stanowi kolej lokalna Muszyna-Krynica, na której nie zastanawia się ruchu na zimę, lecz utrzymuje się pociągi Nr. 6713, 6714, 6715 i 6716.

Zimowy rozkład jazdy na tej kolei przedstawia się wobec tego następująco: Z dniem 1 października b. r. zastanawia się ruch pociągów sezonowych Nr. 6717 i 6718 zupełnie. Z dniem 1 listopada zastanawia się ruch pociągów Nr. 6711 i 6712 aż po dzień 14 marca 1912 włącznie. Pociągi zaś Nr. 6713, 6714, 6715 i 6716 będą kursowały bez przerwy i nadal“.

Z dniem 1 października b. r. zaprowadza się na próbę aż do odwołania, na szlaku Kraków-Lwów wagon sypialny przy pociągach osobowych Nr. 19 (odjazd z Krakowa o godz. 10·35 wieczór, przyjazd do Lwowa o godz. 7·30 rano) i Nr. 18 odjazd ze Lwowa o godz. 11.10 w nocy, przyjazd do Krakowa o godz. 8·45 rano).

Należytość za użycie łóżka z Krakowa do Lwowa względnie odwrotnie w I. klasie tego wagonu wynosi 8 K. 80 h. a w II. klasie 7 K 80 h od osoby.

Z dniem 1 października br. stwarza się nowe bezpośrednie połączenie Czerniowce-Fürth im Walde-Norymberga i z powrotem przez Przerów Ołomuniec, Pragę, Pilzno, a mianowicie od tutejszych pociągów Nr. 8 (odjazd z Krakowa o 12·45 w nocy, przyjazd do Fürth i. W. o 4·44 popoł a do Norymbergi o 9·56 przedpoł. z Fürth im W. o 1·45 popoł. przyjazd do Krakowa o godz. 3·09 w nocy). Przy tych pociągach będzie kursował bezpośredni wagon I. i II. klasy na szlaku Czerniowce-Fürth im Walde. Równocześnie zaprowadza się bezpośrednie wagony wszystkich trzech klas między Przerowem a Norymbergią przez Pragę przy tych samych pociągach.

Handel towarów korzennych i kolonialnych
Kraków, ul. Floryańska L. 55
Józefa Świeżyńskiego

POLECA

Codziennie świeże masło deserowe po 1/4 kilo 78 hal. oraz
Czekoladę szwajcarską i wszelkie towary po najniższych cenach.

Nowo otworzony magazyn **towarów bławatnych i płócien**
Józef Pietsch, Kraków, ul. Szewska 2
poleca **ostatnie nowości na sezon jesienny i zimowy** towar tylko doborowy, **ceny nadzwyczaj niskie.**

Fotografia artystyczna jest dziś przez najinteligentniejszą publiczność poszukiwaną i wielce cenioną — przeto zwracamy uwagę Sz. P. T. Publiczności na nasz

Pierwszorzędny Zakład artystycz.-fotograficzny **„ADELA"** w Krakowie, Plac Szczepański L. 2 **(Plac Gwardyi Narodowej).**

który wykonuje wszelkiego rodzaju i formatu fotografie gustownie, z prawdziwym smakiem artystycznym, przy zastosowaniu najnowszych ulepszeń technicznych.

Szczególną uwagę zwracamy na **najnowszy system zdjęć pokojowych,** które uskuteczniamy z precyzyą.

Bieliznę męską białą i kolorową ze słynną marką



poleca Magazyn Nowości i Kapeluszy
A. Skórczewskiego i Polakiewicza
Kraków, ul. Floryańska l. 13.



Artystyczne karty widokowe

w najlepszem bromosrebrnem (fotogr.) wykonaniu.
Ciągle nowości w pięknościach kobiecych, scenach miłosnych, dzieci, kartach na Zielone Święta, urodziny, imieniny, z kwiatami i krajobrazami.

Czarne matowe:		**Kolorowe matowe:**	
6 szt. opłatnie . . .	K. —·50	6 szt. opłatnie . . .	K. —.70
25 „ „	„ 1·70	25 „ „ . . .	„ 2·30
50 „ „	„ 3·—	50 „ „ . . .	„ 4·—
100 „ „	„ 5·50	100 „ „ . . .	„ 7·—
200 „ „	„ 10·50	200 „ „ . . .	„ 13·—
Czarne z połyskiem:		**Kolorowe z połyskiem:**	
6 szt. opłatnie . . .	K. —·60	6 szt. opłatnie . . .	K. —·85
25 „ „ . . .	„ 2·—	25 „ „ . . .	„ 2·70
50 „ „ . . .	„ 3·50	50 „ „ . . .	„ 4·80
100 „ „ . . .	„ 6·50	100 „ „ . . .	„ 8·50
200 „ „ . . .	„ 12·—	200 „ „ . . .	„ 15·50

Zamówienia niżej 2 K. wysyła po otrzymaniu należytości z góry. Zamówienia wyżej K. 2·— wysyła za zaliczką. Jeżeli ktoś zażąda przesyłki poleconej, powinien przesłać tylko 25 h. **c i k. nadworny dostawca**

HANNS KONRAD w Brüx Nr. 2937 (Czechy).

Bogato illustrowany katalog główny z 4000 rycin wysyłamy każdemu na żądanie darmo i opłatnie.

+ GUMA +
Specyalności dla Pań i Panów!

Prawdziwe francuskie dla Panów I-a gatunek, prawnie zastrzeżona marka ochronna „Kolonia", najlepsza znana do tej pory marka, 3 sztuki K 1·10, 6 szt. K 1·90, 12 szt. K 3·60 wraz z dołączoną, bardzo interesującą, 82-stronicową broszurą z fotografiami wysyła dyskretnie bez podania firmy i zawartości za zaliczką albo poprzedniem nadesłaniem należytości w markach listowych.

J. KUKLA, Praga, Perlgasse Nr. 162.

Jedyna fachowa firma. Illustrowany, obszerny cennik z objaśnieniami i rycinami wysyła darmo i opłatnie w kopercie.

Najtańsze maszyny **do robienia pończoch** w **Austro-Węgrzech** dostarcza Dom wysyłkowy **J. F. Nouzák, Praga** (Czechy) **Riegerquai 24/47.** Cenniki darmo. Dzienny zarobek 4 korony.

Najznakomitsza pracownia gorsetów w Monarchii!

Czy Gorset 5 — 10 lub 50 Kor. kosztuje, jest każdy dla siebie **prawdziwem arcydziełem sztuki kroju mego bezkonkurencyjnego**



ATELIER
Specyalista Gorsetów
HERMAN PIESEN
KRAKÓW
ul. Grodzka L. 4.
Filie: **Wiedeń VI.** Mariahilferstr. 51.
Nr. telefonu 2137.
Lwów: ul. Jagiellońska 5 i ul. Halicka 13.
Gorsety na miarę wykonywuje się ściśle według budowy ciała.
Proszę żądać nowego **luksusow. katalogu** gratis i franko.

Do Ameryki i Kanady przeprawia najlepiej



Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka **99.**

Cena przeprawy z Tryestu do N. Yorku III. kl. od osoby dorosłej wraz z pogłównem **K 160·—**, od dziecka poniżej lat 12 wraz z pogłównem **K 90·—**.

Odjazd z portu **w Tryeście: Carpathia:** 10 października 1911, **Ultonia:** 24 października 1911, **Pannonia:** d. 14 listopada 1911.

Z Liwerpolu: Lusitania: (największy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 7|10, 28|10, 18|11 1911.

Mauretania: dnia 21|10, 11|11 1911.

REWOLWERY najstaranniej wypróbowane z państw. stemplem najlepszej jakości w bardzo starannem wykonaniu, z poręczeniem za doskonałe działanie, dostarcza znana ze swej sumienności światowa firma c. i k. nadworny dostawca **Hanns Konrad, w Brüx No. 2945.** (Czechy).



Rewolwer K. 5·50, 6·30, 7·50, 8·50. Żądaj Pan mego głównego katalogu z 4000 odbitek, który wysłany zostanie każdemu darmo i opłatnie.



udowodniona hygieniczna najlepsza specyalność gumowa.
2-letnia gwarancya

Wszędzie do nabycia.
Cennik darmo z fabryki gumy.
„OLLA"
Wiedeń II/56.
Praterstrasse Nr. 57.

Proszę gorąco moich dawnych łaskawych odbiorców, znajomych i przyjaciół, którzy przeszło lat 20 tak poczciwie popierali mój przemysł domowy (we dworze Łapszyn za Brzeżanami), aby raczyli swe dzieło dalej prowadzić. Obecnie wyrabiam **STRUDEL SUCHY** domowy (najtańsza i najtałtwiejsza legumina) pod firmą: **Jastrzębiec i Ska, Kołomyja, Dworek Matczyn.** — Proszę więc żądać we Lwowie, Krakowie i na prowincyi w handlach tylko STRUDLA mojego wyrobu z powyższą firmą. — Z poważaniem **Matczyńska.**

Cenne aparaty fotograficzne



Kompletne aparaty fotograficzne, dające pod gwarancyą dobre zdjęcia, **z płytami, papierem, chemikaliami i samouczkiem:** Wielkość kliszy 6×9 cm. Kor. 1·90, 9×12 cm. Kor. **3·30**, 5·70, 9·70 etc. (Porto osobno).
Dokładne wspaniałe kamery i podwójne anastygmaty niedoścignione w dobroci.
Używane aparaty i objektywy firm znanych, bardzo tanio do nabycia.
Katalogi główne o 130 stronicach za darmo jak również cenniki okolicznościowe.

Elfr. Birnbaum fabryka Kamer **Hirschberg 540 (Czechy).**

Tylko dla Pań! Wykonuje ang. kostyumy, spodnice, amazonki, płaszcze etc. Wykończenie solidne. Ceny niskie.

Józef Gałązka w Krakowie, ul. Floryańska L. 16.

Restauracya Starego Teatru pod nowym zarządem **otwartą została dnia 24 września**

Doborowa kuchnia pod kierunkiem pierwszorzędnego kuchmistrza z Warszawy.
Piwo pilzneńskie. Piwnica zaopatrzona obficie w najlepsze napoje i trunki
Cztery gabinety artystycznie urządzone.

Mała sala na bankiety, wesela i zebrania towarzyskie.
ANTONI KWIATKOWSKI i RUDOLF STREIT restauratorzy.

Dyplomy Honorowe na wyst.: Kraków 1901, Karlsbad 1908, Londyn 1908, Paryż 1908.

W. SZNAJDROWICZ
Kuśnierz w Krakowie, Rynek Linia A-B L. 45, I. p.
Filia: w Krynicy.

Poleca Szan. P. T. Publiczności, swój obficie i jedynie w towary doborowe zaopatrzony skład i pracownię jakoto: Futra damskie, żakiety futrzane, Saka, Boa, Garnitury, Futra męskie spacer. i podróżne, Marynarki, Bekiesze, Czapki futrzane oraz wielki wybór Serdaków i Peleryn.

Zamówienia wykonywują się z całą starannością, jak również wszelkie przeróbki oraz pokrycia futer i w tym celu magazyn posiada **wielki wybór materyałów** z fabryk krajowych, jak również angielskich.

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacya z angielskiego.

3)

W pewnej odległości ku północy pochylały się one i łamały nagle, jakby przecięte olbrzymim to porem przez jakiegoś olbrzyma. Wyodrębniał się tylko z pośród nich ogromny głaz, rodzaj skalnego obelisku, z którym łączyły się wązkim językiem, wznoszącym się na wysokość sześciu do siedmiu stóp ponad wody w stanie przypływu. Osamotniony ten obelisk zwał się „Skałą umarłego“, chociaż po dobno przed wiekami nosił poetyczne miano „Skały trubadura“, które przez błędne wymawianie w na rzeczu okolicznego ludu, zmieniło się na imionisko, wzbudzające strach i brzmiące smutnie.

Pod owym kamienistym językiem, który go łą czył ze skalnemi ścianami, istniał naturalny tunel, którym, gdy wody odpłynęły, można było wyjść na długie wybrzeże Polkimbry, zakończone miasteczkiem, usadowionem wdzięcznie na jego najodleglejszym krańcu. Stanąwszy pod pierwszą arkadą owego skal nego korytarza, widziało się ładną osadę, oprawną w ramy ciemno-zielonego marmuru, na purpuro wem tle ścian nadbrzeżnych. „Skała umarłego“, pod stawą swą tonęła zawsze w morzu, z wyjątkiem je dynie paru dni wczesnej wiosny w czasie wielkiego odpływu. Czarną była cała, jak noc; gdzieniegdzie tylko czerwieniły się na niej kraśne plamy, podobne do świeżo przelanej krwi. Nie bez trudności, ale można było dojść do jej nagiego szczytu, tu i owdzie tylko skąpo porośniętego nizkiem i marnem zielskiem. Ja sam nieraz wdzierałem się na nią, aby z gniazd mew wybrać złożone w nich jaja.

Gdy dochodziłem do zatoki, rozjaśniać się zaczęło na wschodzie. Poranek, złocistą wstęgą słonecznego blasku, opromieniał błękit nieba nad ścianami skał od lądu, gdy tymczasem morze, ku któremu zwró cony byłem twarzą — pokryte dotąd blado żółtą barwą nikłego refleksu — podnosiło w górę swoje fale, jak pierś dziecka, wzdymająca się jeszcze od czasu do czasu tłumionym szlochem, po długotrwa łym płaczu, wywołanym minionem już zmartwieniem. Z nizko opadniętych wód dął świeży wietrzyk. Zbli żałem się właśnie do cienia, jaki rzucała mi pod stopy „Skała umarłego“ i stanąwszy u wejścia do tunelu, patrzyłem na wybrzeże, dosięgające w dali Polkimbra.

Nie widać na niem było żywej duszy. Długi pas piasku, obecnie zaledwie widoczny, zaczynał się już jednak oświetlać. O ile wzrokiem dosięgnąć mogłem, zdawał się pusty. Przeszedłszy tunel, wdrapałem się stroną południową skały na jeden z jej boków, żeby spojrzeć na morze, przypuszczałem bowiem, że jakiś szczątek — może z rozbicia — wytłómaczy mi ta jemnicę nocną. Nic nie dostrzegłem.

Nagle... tuż prawie u stóp moich, na odbijającej się od brzegu fali, ujrzałem... czapkę marynarza! Na jej widok o mało nie zemdlałem z przestrachu. Prawie całą minutę nie śmiałem oczu otworzyć, aby powtórnie spojrzeć na nią. Tak, to była czapka!... Echo krzyku nocnego zabrzmiało znowu w moich uszach, budząc w sercu straszny niepokój, gdy pa trzyłem na część odzieży ludzkiej, będącej milczącym dowodem czyjejś śmierci. Byłem dzieckiem, więc ze względu na mój wiek dziwić się nie można, że trząść się zacząłem całem ciałem, doznając przytem strasznego zawrotu głowy.

Zamknąłem znowu oczy i drżący przytuliłem się do skały. Za żadne skarby świata nie zeszedłbym na dół, aby dotknąć przedmiotu, wzbudzającego we mnie takie przerażenie, lecz gdy pierwszy spazm strachu minął, cofnąłem się rozpaczliwym wysiłkiem w tył, jakby dusze wszystkich potopionych goniły za mną.

Po niejakimś czasie jednakże, odzyskałem przy tomność i postanowiłem iść piasczystem wybrzeżem aż do Polkimbra, a potem okrążywszy skały wrócić do domu.

Niby oczarowany, czy zahypnotyzowany, szedłem nie odrywając oczu od morza. Burza wyrzuciła na brzeg mnóstwo podwodnego zielska, które nagro madzone w kupki i kupy, pociągały również mój wzrok ku sobie, jak gdybym i w nich miał dostrzedz coś strasznego.

Już przeszedłem pół drogi, gdy nagle spojrzałem w stronę Polkimbra. Ujrzałem człowieka, idącego ku mnie brzegiem morza.

Gdy go dostrzegłem, oddalony był jeszcze o jakie dwieście metrów. Po wielkim strachu, który mnie prawie sił i przytomności pozbawił, ucieszyłem się bardzo na widok zbliżającego się człowieka. Pobie głem naprzód żwawo, sądziłem bowiem, że to jeden z moich przyjaciół-rybaków z Polkimbra. Gdy jednak już do niego dochodziłem, nie zwracając na siebie uwagi, bo miękki piasek głuszył odgłos moich kro ków, zastanowiłem się chwilę. Zdziwiła mnie jego powierzchowność. Przedewszystkiem nie widziałem nigdy rybaka tak, jak on ubranego; następnie zda wał się przyglądać morzu z wielkiem zajęciem i nie pokojem, jak gdyby czegoś szukał w rozbijających się o wybrzeże bałwanach. Gdy się znalazłem na reszcie blizko niego, poznałem, że to był ktoś nie z naszych stron, słowem człowiek całkiem obcy.

Nie miał kapelusza na głowie, a odziany był w czerwoną koszulę i podarte spodnie, sięgające mu tylko do kolan. Szedł boso, a mokra odzież przyle gała mu do ciała. Mógł mieć wzrostu najwięcej ja kie pięć stóp i sześć cali, lecz szerokie jego barki i cała budowa — pomimo, że był bardzo zziębnięty i zmęczony — świadczyły o dobrem zdrowiu i nie zwykłej mocy. Jednakże, pomierzwione i mokre włosy spadały mu na twarz zniewieściałą. Najcha rakterystyczniejszą zaś cechą jego postaci był wy raz jakiegoś nerwowego oczekiwania, malujący się nie tylko w oczach, lecz również odbijający się w ka żdem jego poruszeniu.

W innych niż ówczesne okolicznościach, starał bym się go uniknąć lub ominąć, lecz przestrach sprawił, iż zupełnie straciłem głowę. W odległości jakich dwudziestu metrów, nas rozdzielających, za trzymałem się i zawołałem na niego, a gdy wołania mego nie usłyszał, postąpiłem znowu naprzód i nieco z ukosa, tak, że znalazłem się tuż prawie za jego plecami. Zawołałem nań powtórnie. Wtedy na dźwięk mego głosu żachnął się cały i zwrócił ku mnie z nie wytłómaczonem, a widocznem przerażeniem na zbla dłych nagle licach. Dostrzegłszy jednak, że stoi przed nim tylko dziecko, obawa i wahanie znikły mu z oczu. Gdy do mnie przystępował, widziałem, że trzęsie się od zimna, a może i głodu.

— Co robisz, chłopcze, na wybrzeżu o tak wcze snej porze? — rzekł drżącym głosem.

— Och, panie! — odpowiedziałem — wczoraj wie czorem i dziś w nocy, tak gwałtowna i groźna hu czała burza, że my... to jest mama i ja... usłysze liśmy, o ile nam się zdaje... jakiś krzyk... a potem, och! widziałem...

— Co widziałeś?

To mówiąc, chwycił mnie za rękę i ściskał ją mocno w swej dłoni.

— Czapkę... tylko czapkę, panie — odparłem także bardzo zmieszany — tylko czapkę. Wdrapałem się na Skałę umarłego... na skałę, którą pan widzi tam, na końcu wybrzeża... i zobaczyłem u jej pod nóża czapkę. Myślałem...

— Chodź! i pokaż mi ją zaraz!

Biegł po piasku w kierunku skały, ciągnąc mnie za sobą.

Zatrzymał się nagle.

— Czy nie widziałeś nic więcej? — zapytał, sta jąc przedemną i wpijając wzrok swój w moje oczy.

— Nic, panie.

— Ani nikogo innego?

— Nikogo nie widziałem.

— Czy pewny jesteś, że prócz mnie nie widzia łeś nikogo innego? Czy nie spostrzegłeś przypadkiem wielkiego chłopa, o czarnych włosach, z kolczykami w uszach?

— Och, nie, panie!

— Czy przysięgniesz, że nie widziałeś takiego człowieka? No, przysięgnij! Powtarzaj za mną: „Przysięgam Bogu, że prócz pana, nie widziałem dziś nikogo innego na tem wybrzeżu“.

Przysiągłem.

— Mów jeszcze! — zawołał. — „Bodajem oślepł, jeśli widziałem kogo innego“.

I tym razem powtórzyłem dosłownie, co mi po wiedzieć rozkazał.

On zaś, objąwszy otaczającą nas przestrzeń nie spokojnem spojrzeniem, popędził znowu ku skale. Trzymałem się o ile mi tylko sił i cierpliwości star czyło, żeby nie upaść i nie krzyczeć z boleści, tak mocno mnie ściskał. Zęby mu szczękały, a całe ciało się trzęsło; zmoczona na nim i podarta odzież fru wała w powietrzu, targana powiewem wietrzyka, dmącego od morza; na twarzy jego malowało się znużenie. Nie zwolnił jednak biegu, dopókiśmy nie stanęli pod Skałą umarłego. Obejrzał się znowu wokoło.

— Czy można tu gdzie się ukryć? — zapytał nagle.

Zdziwiło mnie to pytanie. Zachowanie się tego człowieka było tak dziwaczne, że powtórnie ogar nęła mnie straszna obawa. Całem sercem pragnąłem wyrwać mu się z rąk i uciec, lecz zdawało mi się, że chwila potemu nieodpowiednia. Więc przymusiłem się do spokojnej odpowiedzi:

— W zatoce Gotowych Pieniędzy jest piękna grota. Przemytnicy chronili się w niej nigdyś, lecz...

Widocznie w oczach moich wyczytał zdziwienie, bo rzekł:

— No, to pokaż mi czapkę, którą widziałeś. Czy leży po tej stronie skały? Jakże skałę tę zo wiesz? Skałą umarłego, co? Brzydka nazwa i brzydka skała — dodał, wstrząśnięty nagłym dreszczem.

Wdrapałem się na skałę, a on za mną. Doszliśmy wkrótce do miejsca, w którem stałem przedtem. Spojrzałem na dół. Czapka znajdowała się tam jeszcze, a nawet przypływ przybliżył ją nieco.

Towarzysz mój przyglądał się jej czas jakiś, poczem skoczył żwawo i pochwycił zręcznie.

Dla mnie była to zwykła czapka marynarska, lecz on badał ją pilnie i uważnie, ściskał w dłoni a następnie potrząsnął w powietrzu, szepcąc coś do siebie po cichu. Sądziłem, że to musi być jego własna czapka, nie rozumiałem tylko, co z nią wyprawia. Po chwili wdrapał się na skałę i stanął przy mnie mrucząc dalej pod nosem:

— Nie ulega wątpliwości, że to jego czapka, chociaż nic w niej niema... Przecież nie żyje, to rzecz pewna! Wiedziałem dobrze, że zginąć musiał, lecz to ponieważ jest zgonu jego dowodem. Niech będzie przeklęty! No, nie pozostaje mi nic, jak ją zabrać. Mniej po sobie pozostawił niż sądził, a pękłby niezawodnie ze złości, gdyby wiedział, że ja jestem jego sukcesorem! — Zwróciwszy się do mnie, rzekł głośno: — Siądź, mały, koło mnie... Spokojnie tu, chcę z tobą pomówić.

Wykusz skalny, na którym znajdowaliśmy się, mógł mieć siedm stóp długości, a trzy do czterech szerokości. Z jednej strony wiła się przy nim ścieżka, po której dotarliśmy tu; drugim zaś brzegiem, ścię tym w gładką, prostopadłą ścianę, nurzał się w morzu o jakie czterdzieści stóp poniżej nas. Nad nami ster czała niedostępna skała. U stóp naszych, niezbyt głęboko, widać było głaz, na którym — przygnana

falą — zatrzymała się czapka. Za owym zaś głazem widać było drugą przepaść.

Niezbyt przyjemnie było przebywać samemu z takim dziwnym towarzyszem, lecz umknąć nie mogłem. Może wyraz osłabienia, malujący się na jego twarzy; a może coś — nie wiem co — świadczącego, że nie musi być złym do gruntu, obudziło w duszy mojej nieco odwagi. Nie miałem jej jednak zbyt wiele, więc usiadłem tak, żeby być bliżej ścieżki. Towarzysz mój, wyciągnąwszy nogi przed siebie, położył się po drugiej stronie i kilka minut, milcząc, przyglądał się morzu.

Słońce wzbiło się już wysoko, a jego promienie grały milionami migotliwych iskier na grzywach tańczących fal. Skała rzucała w swojem pobliżu ciemny cień na głębokie, zielone wody. Na lewo, widziałem lśniące jasnym blaskiem piaski wybrzeża, ciągle pustego; poza niem rząd purpurowych ścian skalistych — i w dali Polkimbra. Na prawo, cypel skały zasłaniał mi wszystko, prócz pełnego morza i nadlatujących mew, które po burzy szukały widocznie żeru w kupach świeżych zielsk morskich.

Podniosłem lękliwie oczy na mego towarzysza. Patrzał ciągle przed siebie, zatopiony w jakiemś głębokiem dumaniu. Czapkę włożył na głowę i poruszał zwisającemi ze skały nogami, ciągle mrucząc coś pod nosem, jakby zupełnie zapomniał o mojej obecności. Po chwili jednak obrócił się ku mnie.

— Zjadłbym coś! — zawołał.

W przestrachu, jaki mnie nieustannie udręczał, zapomniałem, że przechodząc przez kuchnię, chwyciłem kawałek chleba, który mi miał w drodze zastąpić śniadanie. Zarumieniony, ze wstydem — jakbym wyrazem twarzy chciał usprawiedliwić się, że zbyt mała — wydobyłem kromkę z kieszeni i podałem mu. Wziął ją, nie mówiąc ani słówka i żarłocznie pochłonął, patrząc na mnie dalej wytężonym wzrokiem.

— Daj coś więcej!

Zmuszony byłem odpowiedzieć, że nie mam nic, chociaż lękałem się bardzo zasłużyć na jego niezadowolenie. Milcząc, przyglądał mi się znowu czas jakiś, potem przemówił:

— Jak się nazywasz?

Odpowiedziałem:

— Kasper Trenoweth.

— Na miłość Boską! — krzyknął. — Co, jak?

Zerwał się na równe nogi i spojrzał na mnie z dzikim wyrazem w oczach i nadzwyczajnem zdziwieniem.

Nie rozumiejąc, dlaczego moje imię i nazwisko wywarło na nim tak piorunujące wrażenie, nie zdając sobie przytem sprawy z zachowania się tego człowieka, powtórzyłem imię moje i nazwisko raz jeszcze.

Woskowa bladość oblała twarz jego. Odwrócił odemnie oczy i skierował je w stronę morza, jakby się lękał spotkać z moim wzrokiem.

Czas dłuższy panowało głuche milczenie.

— Czy przypadkiem ojciec twój nie zwał się Ezechiel? Ezechiel Trenoweth?

Przypominam sobie, że pomimo doznawanego przestrachu, lekceważący sposób, w jaki się wyraził, traktując poniekąd ojca mego jak psa, oburzył mnie niesłychanie, lecz równocześnie w tejże samej chwili ogarnął mnie inny rodzaj obawy. Zaniepokojony do najwyższego stopnia o los rodzica, a lękając się smutnej odpowiedzi, zawołałem nieledwie z płaczem:

— Tak, tak! Czy zna go pan?... Powracał do kraju z Ceylonu... a mama była o niego bardzo niespokojna... bo ta burza i krzyk, którego usłyszeli... przeraziliśmy się okropnie... Och! czy pan wie... czy pan wie?...

Wyrazy ledwie przezemnie wymawiane, wydobywały mi się z gardła, jakby zdławione, lecz on zdawał się ich nie słyszeć. Patrząc ciągle na morze, szeptał jakby do siebie:

— Wsiadł na pokład „Fortuny", odpływającej do Plymuth... Co? czy tak!... Och, tak, tak!... Ho, ho, znałem go dobrze. — Przesunął rękę po czole, jakby chciał wygnać z niego przykre myśli, a potem zapytał: — Czy miejscowość, w której się znajdujemy, zowie się Lantrig?

— Tak. Dom nasz stoi na wzgórzu nad drugą zatoką — odparłem. — Lecz błagam pana, jeśli mu się coś złego stało, chciej mi to zaraz powiedzieć!

— A cóżby się mogło stać Ezechielowi Trenoweth? Chciałbym to wiedzieć! Z jakiego powodu mogło mu się stać coś złego?!

Przyglądał się ciągle tańczącym falom, iskrzącym się w promieniach słonecznych, a na mnie nie patrzał wcale, tylko nerwowym ruchem palców podciągał w górę podarte spodnie.

Mewy, zawodząc żałośnie, krążyły nad naszemi głowami, a zatoczywszy w powietrzu szerokie koła, spadały pionowo w zatokę, aby pochwycić łup gromadzący się w głębi morza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył Staker, Kraków.

Pierwsza bez jednej litery
Przy niej zgłoska *trzecia,*
Jest to miejsce, gdzie wre praca
Wśród błota i śmiecia.
Druga z trzecią też niecałą
Z fizyki jest znana
I w nauce dynamiki
Często powtarzana.
Do pierwszej niecałej z trzecią
Niecałą i drugą,
Jedzie wielu robotników
Przez Ocean długo.
Całość jest osobistością
Ze swych czynów sławną,
Wawel odrestaurowała,
I zmarła niedawno.

Szarada.

Ułożył Staker, Lwów.

Pierwsza w wodzie się znajduje,
Drugi w salach się odbywa,
Całość wciąż się irytuje,
Gdy go młodzieniec „zarywa“.

Kwadrat magiczny.

Ułożył J. Żugaj, Wilamowice.

Litery tak poprzestawiać, aby utworzyły ośm wyrazów o podanem znaczeniu.

	1	2	3	4
5	a	a	a	a
6	a	g	k	k
7	k	n	o	o
8	r	r	r	t

Znaczenie wyrazów: 1. Część ciała ludzkiego. 2 Rodzaj psa. 3. Pora dnia. 4. Napad. 5. Część składowa każdego drzewa. 6. Minerał. 7. Skaleczenie. 8. Miara odległości (dawniej używana).

Bilety wizytowe.

Ułożył J. Żugaj, Wilamowice.

Z liter, umieszczonych na kartach wizytowych tych osób ułożyć ich zatrudnienie.

Jan Wenanty Larzbuhl
Brody, Galicya.

Ewa Kaśpicz

Łamigłówka.

Ułożył S. Kowalówka, Kraków.

Początkowe litery należycie uzupełnionych wyrazów, czytane z góry na dół, podadzą nam zdarzenie, które bardzo zasmuciło autora łamigłówki i wielu Krakowian.

— ara
— dra
— ora
— ama
— pal
— aba
— cho
— oga
— gła
— gon
— iła
— ran
— ała
— gat

Kwadrat magiczny.

Ułożył I. Wojnowski, Podgórze.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstał szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy, utworzy nazwisko jednego z greckich filozofów.

```
                □
              — □ —
            — — □ — —
          — — — □ — — —
        — — — — □ — — — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
        — — — — □ — — — —
          — — — □ — — —
            — — □ — —
              — □ —
                □
```

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska 2. Łód. 3. Rzeka na granicy Bośni 4. Powieściopisarz i filozof rosyjski 5 Rzeźbiarz polski. 6 Szukany wyraz. 7. Dramaturg niemiecki. 8. Dzieło Słowackiego. 9. Rzeka na Litwie. 10. Jenerał polski z r. 1831. 11. Samogłoska

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z każdego z niżej umieszczonych wzrazów wyjąć po jednej głosce i utworzyć z nich polskie przysłowie:

Czas, pień, wiec, chór, sowa, kawa, młot, ruda, rana, zbór, kora, koza, lecz, głód, liny, raki, wróg, bije, łbem.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *S. Jasińskiego:* **Artyści.** Powieść współczesna.

Lwów :: ul. Halicka 21 **Lalki, Zabawki, Nowości** w Galanteryi, Mydła, Perfumerye Tlenu i francuskie poleca **Klinika i ubieralnia lalek we Lwowie.**

„HOTEL NARODOWY“

Kraków, ul. Poselska L. 22

Po przejściu na innego właściciela **gruntownie zewnątrz i wewnątrz odrestaurowany.** Pokoje na parterze i piętrze nowo urządzone, parkiety, światło elektryczne, korytarze ogrzewane. Restauracya, łazienki, telefon i stajnia w miejscu.

Ceny pokoi przystępne wraz ze światłem i usługą.

C. K. DOST. NADW.

„UNDERWOOD“

Generalny zastępca na Galicyę
EMIL URICH, Lwów, ul. Sykstuska 29 ⊙ Tel. 901
Kraków, ul. Szewska 19 ⊙ Tel. 1164
poleca **oryginalne amerykańskie maszyny do pisania z zupełnie widocznem pismem.**

Maszyny do powielania, rachowanin i kopiowania listów. Wszelkie przybory do maszyn wszelkich systemów. Zakład przepisywania i powielania pism z osobnym pokojem i aparatem do dy' wania.

W. FILIPKIEWICZ i T. BĘTKOWSKI

SPÓŁKA KRAWIECKA

Kraków, Floryańska 57

MAGAZYN SUKIEN MĘSKICH

SKŁAD MATERYAŁÓW ANGIELSKICH I KRAJOWYCH

Agencya handlowo-przemysłowa

JULJUSZ KUHN

Kraków, ul. Sławkowska L. 14

II. piętro. — Nr. telefonu 2227.

Przeprowadza: kupno i sprzedaż **majątków ziemskich, lasowych** oraz **realności** w Galicyi i Królestwie Polskiem.

Posiada: do sprzedania **kilka majątków ziemskich i lasowych** oraz **kamienic** w Krakowie.

Poszukuje: do kupna **większych majątków ziemskich, drzewa każdego rodzaju** w szczególności **grubej dębiny.**

Strzelby do polowania

doskonale obstrzelane, najlepszej jakości dostarcza



c. i k. dostawca dworu

HANNS KONRAD Brüx Nr. 2947 (Czechy)

Dubeltówka Lancaster z lufami stalowemi i łożyskiem o srebrnych prążkach, garnitur z okrągłą oprawą, boki i rączka pistoletowe 16 kalibrowy K. 38·—, 48·—, 55·—, 62·—, 75·— i wyżej. Dubeltówka Hammerles, automatyczna bez kurków, potrójny zamek Greenera, z zabezpieczeniem K. 112·—. Bardzo wielki wybór strzelb do polowania i rewolwerów znajduje się w moim katalogu głównym, który wysyłam każdemu na żądanie darmo i opłatnie.



Aby być piękną nie wystarcza mieć świeżą cerę; należy jeszcze ciągle pielęgnować skórę twarzy i rąk -- Najlepszym środkiem do tego użytku jest **Crem Simona,** którego wartość hygieniczną wykazało 50 lat uznania. — Przy tym znakomitym środku nie należy używać żadnego innego pudru jak tylko **Simon'a** z zapachem fiołków lub heliotropu.

Niderlandzkie

Towarzystwo ubezpieczeń na życie.

Wiedeń I, Aspernplatz 1 we własnym pałacu.

Ubezpieczony kapitał około 380 milionów K.

Rezerwa premiowa około 113 milionów K.

Bliższych wiadomości udziela

Generalna Agencya „Niderlandzkiego“ Tow. ubezpieczeń Kraków, ul. Lubicz 3.

Zastępców poszukuje się.

Gumowe i rybie

artykuły hygieniczne dla pań i panów oraz inne środki ochronne z powodu wielkiego zbytu niezależle zawsze świeże poleca **taniej jak wszędzie**

Droguerya Z. Komorowskiego

w Krakowie, ul. Floryańska L. 33 róg ul. św. Marka.

Wysyłki na prowincyę **opłatnie nie licząc opakowania** dyskretnie po Kor. 5·—, 7·— i 10·— za tuzin.

DESZCZOWE PELERYNY DLA PANÓW, PAŃ I DZIECI.



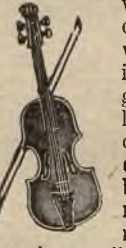
Przedni wyrób! Pierwszorzędna praca krawiecka. Nr. 850. **Peleryny męskie** z dobrego nieprzemakalnego gładkiego sukna lodenowego na lato i zimę w kolorze popielatym lub oliwkowym z szelkami i kapuzą do odpinania komplet szerokie, 115, 120, 125 cm. długości, sztuka K. 16·—, 17·—, 18·—. Nr. 855. Ta sama **damska** z wielką kapuzą do założenia na kapelusz i czapkę komplet szerokie, 115, 120, 125 cm. długości, sztuka K. 17·25, 18·25, 19·25. Męskie i damskie peleryny z najlepszych materyi pierwszorzędnego wykończenia w moim głównym katalogu. Peleryny dla **chłopców** i **dziewcząt** po K. 12·—, 13·—, 13·50, 14·50, w największym wyborze. Bez ryzyka! Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy. Wysyła za zaliczką znana ze swej rzetelności firma światowa.

HANNS KONRAD

c. i k. dostawca nadworny w Brüx Nr. 2924 (Czechy).

Główny katalog z 4000 rycin wysyła każdemu na żądanie **darmo** i opłatnie.

Bez kosztów



wysyłam każdemu swój wielki obficie ilustrowany główny katalog z 4·000 odbitek, **mocnych dobrych i tanich** instrumentów muzycznych wszelkiego rodzaju.

C. k. nadworny dostawca

HANNS KONRAD

dom wysyłkowy instrumentów muzycznych, Brüx Nr. 2918 (Czechy). **Skrzypce dla uczniów**, po 4·80, 5·50, 6·—, 6·80 K. smyczki po —·80, 1· , 1·40, 1·80 K. Niema ryzyka. Dozwolona wymiana lub zwrot pieniędzy.

Baczność!

100.000 par bucików do sznurowania

4 pary bucików tylko Kor. 10·—

Skartelowanie się naszych konkurentów spowodowało naszą Centralę do **wydania specyalnej oferty** dla ludzi **prywatnych** i dlatego sprzedajemy każdemu **2 pary męskich i 2 pary damskich bucików skórkowych** do sznurowania, brązowych lub czarnych, nadzwyczaj eleganckich, fason najświeższy, wielkość wedle podanego numeru za **4 pary razem tylko Kor. 10·—.** Wysyła za zaliczką

Schuhzentrale w Oświęcimiu

Austrya.

Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.

NERWOWI

słabówici, chorzy na żołądek, serce, piersi oraz cierpiący na brak krwi, apetytu i snu, na zawroty głowy, drżączkę i epilepsyę niechaj piją codziennie

Rosena „Teon“ (herbata wzmacniająca i odżywiająca).

Cena: 2 kartony K 2·30, 6 kart. K 6·—, 12 kart. K 11·—. Przy przesłaniu pieniędzy naprzód, wysyłka opłacona, przy zaliczce 50 hal. więcej.

Mr. Philipp Rosen, aptekarz **Sitzendorf** 85/22 koło Wiednia N. Oesterr.

Tanie czeskie PIERZE



5 kilo nowego, dartego K 9·60, lepszego K 12, białego dartego miękkiego jak puch K 18 i 24, śnieżno białego dartego miękk. jak puch 30 i 36. Wysyłka franko za zaliczką, zamiana i zwrot opłatnie dozwolona

Benedykt Sachsel, Lobes N. 265 obok Pilzna, Czechy.

C. k. Uprzyw. Akc. Tow. Bankowe i Kantorów Wymiany

„MERCUR“

Filia w Krakowie - - - - ulica Floryańska 28.

Kapitał akc. 40,000.000 K. Fundusz rezerw 17,000.000 K.

Oddział losowy poleca do najbliższych ciągnień:	Oddział losowy poleca do najbliższych ciągnień:	Oddział losowy poleca do najbliższybh ciągnień
Losy Tureckie	**Losy 4% Regulacyi Cisy**	**Losy Węg. Premiowe**
losowanie 30 września 1911 r	losowanie 1 października 1911 r.	losowanie 15 listopada 1911 r.
Główna wygrana **200.000 Frk.**	Główna wygrana **180.000 K.**	Główna wygrana **240.000 K.**

na dowolne raty miesięczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Pierwszorzędna Pracownia **SUKIEN MĘSKICH** Leona Grabowskiego

Materyały i krój angielski

Wykończenie artystyczne.

właściciel firmy: **Gabryel Grabowski**

w Krakowie, ulica Szpitalna L. 36. — Telefon Nr. 591.

„Wisła“

PEDANCKA PRALNIA BIELIZNY

oraz Chemiczna Pralnia i Farbiarnia garderoby

w Krakowie, przy ulicy Brackiej L. 5.

Dostawa w 3 dniach a na żądanie w 6-ciu godzinach bez dopłaty.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.